Nr. 17. Warszawa, dnia 29 (17) Kwietnia 1893 r. Rok XIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2**. k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

CHWILA HISTORYCZNA.

Dnia 22 kwietnia w Izbie niższej parlamentu angielskiego odegrała się jedna z tych wielkich scen, które na wieki utrwala historya. Sala wcześnie napełniła się posłami, których powaga lub nerwowe drżenia znamionowały ważność chwili. Po 14 dniach zaciętej walki słownej miano głosować powtórnie i decydująco nad bilem irlandzkim. Gdy wszedł Gladstone, przeciwnicy krzyknęli z różnych stron: „zdrajca!“ Opozycya jeszcze raz przypuściła atak do „wielkiego starca“ i jego dzieła, a poprowadził ją Balfour, który zaczął wysławiać dobrodziejstwa unii a raczej obecnego stanu rzeczy. Chociaż wiele jeszcze pozostaje do zrobienia dla drobnych posiadaczów ziemi — mówił on — tylko obłuda lub niewiadomość utrzymywać może, iż Anglia jest winna więcej, niż połowy złego w Irlandyi, która jej przecie zawdzięcza prawa i cywilizacyę. Przez utworzenie parlamentu irlandzkiego nie będzie wskrzeszony żaden dawny przywilej, gdyż naród, który żąda tego parlamentu, nigdy go nie posiadał. Co do przewagi nad nim państwowego, jest ona rzeczywiście prawnie zastrzeżona, ale jeżeli bil przejdzie niezmieniony — stanie się faktycznie urojoną. Nadto, jak widać z oświadczeń posłów irlandzkich, bil nie rozstrzyga sprawy ostatecznie i stanowi tylko ugodę tymczasową. Sexton ostrzegł nas przed skutkami odrzucenia reformy: czy on miał na myśli wzrost zbrodni, kaleczenia bydła i mordowania osób niewinnych? Protestanci irlandzcy przed 90 laty byli przeciwnikami unii; teraz jej bronią, dlaczego w późniejszych pokoleniach nie mieliby się z nią pogodzić również i katolicy? „Jeżeli spełnicie tę zbrodnię polityczną — zakończył Balfour — i przyjmiecie na siebie za nią odpowiedzialność, wtedy na zawsze zgaśnie nadzieja ujrzenia zjednoczonej spokojnej Irlandyi.“

Sród objawów zapału ze strony swych towarzyszów zabrał głos Gladstone. Opozycya — rzekł on — usiłowała zwalczyć bil zapomocą śmiałych twierdzeń, nadzwyczajnej przesady, fałszywych tłomaczeń i bezzasadnych przepowiedni, nie przytoczyła jednak żadnego poważnego argumentu. Zbudzone przez nią obawy są płonne. Gdyby bil został odrzucony, jak należałoby rządzić Irlandyą? Czy można wogóle rządzić narodem wbrew jego większości? Polityka poprzedniego rządu po sześciu latach zbankrutowała; polityka obecnego zyskała kredyt w Irlandyi. „Wierzę najmocniej, że bil ten będzie jednym z najtrwalszych i najdobroczynniejszych tryumfów partyi liberalnej.“

Gdy przebrzmiały oklaski, przystąpiono do głosowania. Była to chwila uroczysta, a każdy czuł, że ona swymi skutkami sięgnie w daleką przyszłość. Liberałowie poszli do urny zwartą falangą; ani jeden z obecnych nie opuścił swego wodza, który z dumą i radością, płonącą w jego głębokich oczach, patrzył na swą wierną drużynę, spełniającą pamiętny akt historyczny. Pozorami spokoju stłumiwszy ogień wewnętrzny, z bladą twarzą i rozrzuconym białym włosem, wyglądał on jak żywy posąg, jak jeden z tych olbrzymów, których sławił Carlyle. Nareszcie zliczono głosy — większością 347 przeciw 304 bil został przyjęty.

Może nigdy parlament angielski nie widział scen, jakie po tej wiadomości rozgrywać się w nim teraz zaczęły. Anglicy, przyjaciele bilu, rzucali się w objęcia irlandczyków, wzajem przez nich ściskani, wzruszenie ogarnęło wszystkich, zimne twarze zapłonęły radością i zwilżyły się łzami. Zdawało się, że wiekowy spór dwu narodów został wreszcie zakończony braterstwem, że one wchodzą w nową epokę życia, która rzuca na nie z przyszłości jasne światło. Uniesienia, okrzyki, hołdy, składane głównemu bohaterowi tej chwili i sprawcy tego dzieła, Gladstonowi, wyczerpały wreszcie siły sędziwego starca, który omdlał pod niemi bezwładny i szczęśliwy. Świadkiem tego widoku był ks. Walii, przyszły monarcha Anglii, siedzący w loży, który również uległ powszechnemu wzruszeniu.

Jakkolwiek głosowanie to było dopiero drugiem, można je uważać za ostateczne. Trzecie bowiem według zwyczajów parlamentu angielskiego jest tylko formą. Konserwatyści, nie mogąc odwrócić porażki, postanowili przynajmniej ograniczyć jej rozmiary i na trzecie czytanie bilu przygowali cały szereg „poprawek.“ Jak rozpaczliwie się bronią, dość powiedzieć, że ogólna suma tych poprawek dosięgła już 500. Rzecz naturalna, że wnieśli je nietylko przeciwnicy bilu, który przy szczegółowych nad nim rozprawach może ulec zmianie w niejednym punkcie.

Cóż potem? Potem przejdzie on do Izby wyższej, gdzie naturalnie nie ma zapewnionej większości i gdzie Gladstone rozpocznie drugą, może jeszcze cięższą walkę. Czy ją również wygra? Trudno przewidzieć, w każdym razie jego zwycięstwo w Izbie niższej będzie miało wpływ ogromny na dalsze losy bilu. Anglia jest krajem bardzo powolnego rozwoju parlamentarnego, w którym jednakże wielkie posiada znaczenie i trwałość każdy krok zrobiony. Izba lordów może bil irlandzki odrzucić, ale jego przyjęcie przez Izbę gmin pozostanie faktem, z którym parlament liczyć się musi i który ostateczne rozstrzygnięcie sprawy przysuwa ku końcowi.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Stały ląd Europy niewiele wie, a przynajmniej bardzo mało słyszy o ulsterczykach, którzy obecnie gwałtem wciskają się na plan pierwszy życia angielskiego. Oni to bowiem urządzili półmilionowe zbiegowisko na cześć Balfoura, pogromcy bilu irlandzkiego, oni urządzają ciągle wiece i wysyłają deputacye, dowodzące, że nadanie samorządu Irlandyi będzie hańbą i zgubą W. Brytanii. Powody ich zgrozy są bardzo proste: jako protestanci sympatyzują bardziej z pokrewną im wyznaniowo Anglią, niż z katolicką Irlandyą, która obdarzona niezawisłością i ulegająca wpływom księży, pod niejednym względem zminęłaby się z interesami i dążeniami ulsterczyków. Stąd ich gniew. Wynurzywszy go przed lordem majorem Londynu, zapowiedzieli, że zaczną kształcić młodzież w używaniu bronią i zbrojnie oprą się bilowi Gladstone'a. Pogróżka ta nie zbudziła wielkiej trwogi, chociaż ją częściowo wykonano, mianowicie w Belfascie tłum protestancki zaczął wyprawiać awantury i skutkiem tego policya musiała go rozpędzić, przyczem nie obyło się bez ran i sińców.

Uroczystość srebrnego wesela pary królewskiej w Rzymie odbyła się z nadzwyczajną okazałością, którą podniósł swem przybyciem cesarz niemiecki, na każdym kroku uwydatniający swą przyjaźń dla monarchy włoskiego i wzajem przezeń odznaczany. Z papieżem załatwił się Wilhelm II według ceremoniału zgóry ułożonego i uwzględniającego drażliwości „dobrowolnego więźnia.“ Z Kwirynału nie pojechał wprost do Watykanu, lecz naprzód—jak gdyby do kamery dezinfekcyjnej — wstąpił do swej ambasady i stamtąd w jej powozie udał się do papieża. Tę samą formalność zachował z powrotem. Towarzysząca mu żona wyszła wprzódy, on zaś pozostał jeszcze z Leonem XIII na godzinnej rozmowie, która prawdopodobnie dotyczyła wywarcia nacisku na centrum w sprawie projektu wojskowego, nieposiadającego dotychczas w sejmie niezbędnej większości.

Gazety włoskie w ostatnich czasach dość często odzywały się z przekąsem o trójprzymierzu. Olśnione wizytą cesarza niemieckiego i jego serdecznościami, zmieniły ton i znowu śpiewają hymny na cześć troistego sojuszu. Srebrne więc gody posłużyły do zaciśnięcia rozluźnionego węzła. Nie ulega zaś wątpliwości, że w przerwach między ucztami i wycieczkami sami monarchowie i ich ministrowie naradzali się w sprawach, obchodzących oba państwa.

Od paru tygodni prasa niemiecka puszcza w obieg i wycofuje wieść o układach między stronnictwem centrum a rządem w sprawie reformy wojskowej. Dla znających stosunki parlamentarne Niemiec jest to zrozumiałe. Centrum nie jest partyą jednolitą, lecz zlepkiem najrozmaitszych żywiołów, począwszy od skrajnych demokratów, aż do skostniałych arystokratów. Otóż ci ostatni, a głównie Huene i hr. Ballestrem, pragnący grzać się i błyszczeć promieniami łask dworu, przytem szczerze radzi wzmocnieniu militarnej potęgi państwa, zgodziliby się chętnie na projekt rządowy i probują sprowadzić porozumienie; natomiast demokratyczne składniki stronnictwa ciążą w przeciwną stronę. Te różnice tak się zaostrzyły i uwydatniły, że zaczęto mówić o jego rozłamie, który zresztą jest już tylko kwestyą czasu. Zniknęła bowiem spójnia, łącząca różnorodne pierwiastki partyi w walce z ustawami majowemi, zresztą zbrakło Windhorsta, który umiał godzić przeciwieństwa. Teraz prawdopodobnie papież ma dostarczyć kleju, który by zapobiegł rozpadowi.

Wyjaśnienia złożone przez Freycineta w senacie co do sprawy melinitu i jego wynalazcy Turpina, zdaje się, ukręciły głowę nowej hydrze, która miała Francyę obdarzyć drugim skandalem w rodzaju panamskiego. Wiara w wielkie oszustwo, którego ofiarą padł jakoby Turpin, osłabła, a z Izby cofnięto odnośne interpelacye.

Liberałowie serbscy ogłosili protest przeciwko dokonanemu zamachowi stanu i jedni (Ristiez) wyjeżdżają z kraju, inni powracają do swoich zawodów, tylko b. regent Belimarkowicz wziął swój los zbyt tragicznie, gdyż podobno usiłował odebrać sobie życie.

Po przyjęciu wniosku Nyssena lud belgijski uspokaja się wszędzie.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA ANGIELSKA.

Robert Buchanan.

Każda wogóle „kracya“ jest plagą a nie wyłamała się z pod ogólnego prawa i demokracya. Jest to trąd, który pokrywa świat cały krostą miernoty i pospolitości. W brzuchu rozpalonego Molocha można się czuć daleko szczęśliwszym, niż wśród takiej *kracyi*, gdzie władza tłumu nad jednostką byłaby nieograniczona. Byłaby to tyrania tem straszniejsza, iż bezimienna i nieodpowiedzialna, przed którą wszyscy kornie uchylają głowy, uważając za świętą, nietykalną. Niechaj dziesięciu osłów — każdy z nich osobno nie ośmieli się głowy podnieść i jest cichszy od trawy — utworzy stado, wówczas jako ciało występują wszyscy z powagą nieomylności. Plaga owa tem jest okropna, iż zaraża wszystkie dusze tym stanem bezsilności i ślimactwa, pod którym pokolenie obecne się ugina. Lemaitre w ostatniej swej powieści „Les rois“ bardzo dobrze wykazał, jak ten trąd przeniknął nawet do pałaców królewskich. Ludzie, mający prawo do władzy, wyrzekają się jej dlatego, że nie *chcą*, a raczej nie mogą chcieć być różnymi od innych. Wolą zrzec się potęgi, aby wejść w ogólne stado i na równi z innymi uprawiać grzędę. Każdy szanuje swych sąsiadów, chce być przez nich szanowany—i to go zadawala. Wszystko, co się wyróżnia, zostaje zakrzyczane, wyszczute. Nie trzeba być wielkim w kierunku zbrodni, aby znaleźć los Arystydesa, a jeżeli demokracya nie truje obecnie swych Sokratesów, to nie dla braku cykuty.

Ale niesposób rozprawiać z burzą lub dżumą. *On les subit.* Trzeba się im poddać. Znajdujemy się w największym rozpędzie potoku, którego niepodobna odwrócić. Zresztą jest to zło nietylko konieczne, ale poniekąd i znośne wobec ustrojów, które ludzkość dawniej przechodziła, takiej np.

---

2)

BROLIS.

ŚMIESZNA DOLA.

Sylwetki.

V. O cnotach p. Przytulskiego i kołaczu.

Pan radca Przytulski był cichym i skromnym człowieczkiem, który nigdy nie mącił wody. Prawda, gdy siadywał z wędką u brzegu stawu, lubił korzystać z mętów, lecz sam osobiście nie przykładał ręki, aby je wytwarzać. Tacy ludzie umieją podczas burzy odszukać najbezpieczniejsze zacisze, a jeżeli okręt druzgocze się, oni sucho wychodzą z wody i nie dla tego, że są dobrymi żeglarzami; kto widział, jak się pęcherz unosi na powierzchni fal, gdy bryły złota padają na dno, ten wie, że są natury bardzo bogato uposażone.

Pan radca kierował się w życiu najwznioślejszą ze wszystkich znanych maksym, a mianowicie: łagodne ciele dwie matki ssie... To też ssał sobie powoli, aż wyssał własny domek.

Trzeba wiedzieć, że był sam na świecie. W przyjaźń i węzły rodzinne nie wierzył, krewnych zaś powoli odstraszył tem, że każdego, skoro spotkał, prosił o parę rubli, nie z potrzeby, jeno z pewnej kombinacyi. Cały świat ludzki, podług jego przekonania, można podzielić na dwie wielkie grupy: na tych, co proszą i na tych, co nie dają; więc jako człowiek łagodny, aby proszącym nie odmawiać, przyłączył się do pierwszej grupy. Żył tedy spokojnie: pracował w biurze, żywił się skromnie, a gdy zebrał trochę grosza, stał się najszczerszym optymistą.

Przysłowie uczy, że dzban póty wodę nosi, aż się ucho urwie, lecz Juliusz Stoczek twierdzi, że znał takie dzbany, które nawet bez ucha, za pomocą kawałka powroza zaczepionego u ich szyi, umiały nosić wodę. Zresztą są to wypadki rzadkie i nie warto o nich wspominać; mówmy raczej o zwykłym losie dzbanów.

Pewnego razu pan radca coś przeskrobał, to jest chcąc wyskrobać jakąś cyferkę, był nie w humorze i zrobił na papierze dziurkę; skutkiem tego z bólem serca musiał opuścić posadę. W tem nieszczęściu jedno go pocieszało, że służąc społeczeństwu, robił, co mógł... To przekonanie pozwalało mu, zasklepionemu w swym domku, stoicko znosić obelgi nieprzyjaciół, aż ostygł ich zapał i wszyscy potroszę zamilkli. Ale gdy napady ustały, pierwszy raz poczuł pustkę na świecie.

Wiadomo, że pracowitego człowieka bezczynność zabija; to się sprawdziło i na p. radcy: wkrótce postarzał się, zwiesił głowę i doszedł do przekonania, że jest tworem śmiertelnym.

— Umrę — i wszystko zginie: i nazwisko moje, i pamięć po mnie znikną jak promyki po zachodzie słońca. Żebym miał choć syna, nad bramą mego domu zostałby wspaniały napis: dom Przytulskiego, a teraz? Znajdą się krewni, dom zabiorą, deseczkę z napisem oderwą i do śmietnika wrzucą...

Zadrżał p. Przytulski, lecz nie opuścił głowy. Owszem po ścisłem zbadaniu stanu rzeczy, odszukał wyjście nie lada.

— Wezmę z ulicy jakiegoś szubrawca, co nie ma nikogo z krewnych, każę mu nazywać siebie ojcem, a jeżeli okaże się godnym, zapiszę mu dom z warunkiem, niech imię moje zaszczyca bramę, jak dotąd... A tę moję wolę niech przekaże swym synom, ci wnukom itd.

Słowem, p. radca znalazł zuchwały sposób przedarcia się do dalekiej potomności. Gdyby dom jego był świątynią Dyany, spaliłby go — i już! Lecz że była ta zwykła kamieniczka, więc taka czynność nie zdałaby się na nic.

Gdy zamiar dojrzał, p. Przytulski ożywił się; codzień raniutko wychodził z domu i spotykając łobuzów, wdawał się z nimi w gawędkę. Rozpytywał o rodziców, krewnych, aż do czwartego pokolenia. Niechętnym do rozmowy dawał łapówki w kształcie trzygroszowego kołacza.

Pewnego poranku p. radca spotkał zbiedzonego chłopaka, który z pozoru trafiał

arystokracyi. Ideałem jest taki ustrój, w którym wszystkie te „kracye“ znikną, gdy znikną wszelkie hypnotyzmy masowe i „dusze społeczne,“ gdy ludzkość składać się będzie z tylu dusz, ile jest jednostek. Tymczasem Europa musi się poddać wszystkim skutkom obecnego stanu. Jednym z nich jest oczywisty upadek literatury i sztuki. Stendhal przepowiedział to ze zwykłą swą bystrością: „suivant moi, la democratie detruira en moins de cent ans *le sentiment des arts*.“ Od lat 25 literatura i sztuka europejska nie wydały ani jednego geniusza — nigdy jeszcze tyrania psychologiczna tłumu nie była tak olbrzymia, nigdy obniżenie jednostki i poczucie wewnętrznej niemocy bardziej gruntowne. Dowodem Robert Buchanan.

Człowiek nadzwyczaj sympatyczny, kochający szczerze bliźnich, współczujący nędzy, idealizuje wszystko to, od czego dawna poetyka z pogardą się odwracała. Stara się odnaleźć piękno w drobnych wypadkach codziennego życia ludu. Jest to uczuciowość o skali nader ograniczonej. Są rzeczy, wobec których staje bezbronna i nic nie pojmująca. A więc świat starożytny będzie dla niej zamkniętą księgą. W siódmym dziesiątku lat naszego stulecia świat ten był jeszcze w modzie i Buchanan, składając jej dań należną, pisał o Wenerach, Marsach, satyrach, faunach, panach i niewolnikach. Wyskoczyć ze swej skóry nikt nie może. Angielski drobnomieszczanin tak umie rozprawiać o starożytności, jak ślepy o kolorach. Jest ona dlań zagadką, a kolosalne jej postacie — potworami. Rzymski pan mógł kazać dać niewolnikowi sto batów i czuć się następnie zupełnie zdrowym i spokojnym duchowo; niechaj człowiek współczesny dopuści się takiego gwałtu — umrze ze zgryzot sumienia. Dalej Buchanan, który jest chrześcianinem, trochę filozoficznym i trochę wierzącym, nie może, chociażby najbardziej się starał, brać na seryo mitologii starożytnej. Staje się ona w jego ręku zabawą i retoryką, gdyż odpowiadający jej stan duszy zupełnie dlań wywietrzał. Oto jedna ściana, o którą musi się stuknąć uczuciowość demokratyczna. Drugą jest — nastrój bohaterski. Sto lat atmosfery równościowej, którą Europa oddycha, osłabiło w nas wszelkie instynkty podboju i panowania. Nawet ludzie mający władzę często się jej obecnie zrzekają, gdyż bez odpowiedniego stanu duszy jest ona najnieznośniejszym z ciężarów — była nim niewątpliwie dla takich jednostek, jak Ludwik bawarski lub ks. Rudolf. Żeby władzą napawać się i zachwycać, trzeba posiadać specyalny nastrój, który naszej epoce zupełnie jest obcy. Houssaye opowiada w ostatniej swej książce „Rok 1815,“ jak oddział wojska, przeprawiany morzem przez Napoleona, ginie skutkiem jego nieostrożności z okrzykiem „vive l'Empereur!“ śród ciemnej nocy. Czas takich entuzyazmów i ludzi, którzy są w stanie je natchnąć, bezpowrotnie przeminął.

W swych „Dramatach królewskich“ Buchanan daje nam Napoleona I, Bismarka, i Napoleona III. Poeta obiecuje w przedmowie do trylogii, iż przedstawiając tych ludzi, zapomni o swych przekonaniach politycznych i społecznych, ale — jest to tylko pobożne życzenie — w rzeczywistości patrzy na nich ze stanowiska republikanina i demokraty. Napoleon występuje u niego na kongresie w Erfurcie. Jest to dla autora zwykły brutalny żołdak, zwycięzki podoficer. Bismark ma za scenę obóz pruski pod Paryżem i pomyślany został jako Mefistofeles, wydający się za usłużnego lekarza, który puszcza krew chorej Francyi ze współczucia, jakkolwiek wbrew jej woli. Ale stanowi to tylko jedną nieznaczną stronę oblicza Bismarka. Jest to zarazem olbrzym myśli i woli, otoczony tym czarem genialności, który czyni, iż nawet jego potworności nie można pojąć w sposób nieartystyczny i że ludzie chętnie, z entuzyazmem idą za jego wodzą do szlachtuza.

Trzeci nareszcie utwór rozwija się w fortecy Wilhelmshöhe i dotyczy uwięzionego Napoleona III. Żeby dać bliższe pojęcie o dramatach Buchanana, przytoczymy szczegółowiej treść tej części. W pierwszej scenie dwaj obywatele z Wilhelmshöhe rozmawiają o uwięzionym cesarzu; jeden nazywa go żmiją, która zrzuciła skórę, drugi — humanitarystą, który złożył broń, aby powstrzymać rozlew krwi. W następnej scenie autor pokazuje nam samego Napoleona: jest on nadzwyczaj smutny, chory; sprowadzony doktór powiada, że cesarz ma cierpienie czysto duchowe, więc zaleca mu lekturę i muzykę. Po lekarzu przychodzi biskup z dobrą nowiną o uratowaniu cesarzowej i następcy tronu i z kazaniem na temat, że klęska była karą za opuszczenie papieża przez Napoleona. Tylko papież może się przyczynić do jego powrotu na tron, ale uczyni to nie inaczej, jak za wręczenie mu ponowne władzy świeckiej. Cesarz nie zupełnie podziela to zdanie, gdy rozmowa przerwaną zostaje przez posłów, którzy przynoszą wieść o ogłoszeniu Rzeczpospolitej w Paryżu. Wieść ta napełnia więźnia otuchą. Przywołuje on najstraszniejszych dyabłów piekła na pomoc przeciw anarchii społecznej, od której on sam tylko, jak się spodziewa, będzie mógł uratować Francyę. Następnie zasypia, ukazuje mu się Napoleon I, Cezar, Maksymilian meksykański i mówią mu tak gorzkie prawdy, iż więzień zrywa się ze snu. Szuka pociechy w ewangielii i narkotykach. W końcu chór wygłasza pieśń mistyczną, zapowiadającą ostateczne zwycięztwo Chrystusa.

Dramat ten jest wprost dziecinny z jego chórami, wygłaszającymi demokratyczne morały, z osobami współczesnemi, mówiącemi językiem tragików starożytnych. Nie dlatego, aby forma ta była przeżyta. Sądzimy, przeciwnie, iż chóry przez jakiś wielki talent jeszcze kiedyś wskrzeszone zostaną. Ale Buchanan nie jest naprzód dramaturgiem z natury, a powtóre istnieje cała sfera uczuć, które dlań na zawsze pozostaną niezrozumiałe.

Jeżeli jednak między temi dwiema granicami, starożytnością i wszystkiem, co razi obecnie pojęcia i uczucia, obierzemy przestrzeń średnią, potocznego, codziennego życia, wszystkich jego smutków i radości, to cała siła talentu poety wystąpi przed nami na jaw. Idealizuje życie prostacze, chłopskie i to z takiem powodzeniem, iż uchodzi za mistrza sielanki. Jego „Undertones“ zawierają jeszcze pewne naśladownictwo Wordswortha, ale zwróciły odrazu uwagę na autora. Zupełnie oryginalnym w tym samym kierunku staje się on w „Idyllach i legendach z Inverburnu.“ Buchanan jest rozmiłowany w Szkocyi, swej ojczyźnie i maluje ją po mistrzowsku. Cała wielkość przyrody ponurej, surowej, ale zarazem wysoce poetycznej, jest głęboko odczuta. W odróżnieniu od zwykłych sielanek „Idylle“ Buchanana są obrazami nędzy. Autor opiewa walki na rynku pracy zwyciężonych w życiu. Śpiewy te mają wielkość i prostotę prawdy. Do tegoż samego gatunku poezyi czysto miejscowej,

---

mu do przekonania; zatrzymał się przeto i zapytał:

— Jak ci na imię?

— A co pan uczynisz z mojem imieniem?

— Nic... chciałbym wiedzieć, tak sobie... bo mi się podobasz.

— Więc nazwij pan, jak się podoba, będzie jednakowy skutek.

— Kto są twoi rodzice?

— Święci, proszę pana.

— Jakto święci?

— Tak... bo są w niebie.

Tu głos chłopaka zniżył się o dwa tony. Pan Przytulski wydobył z kieszeni bułkę.

— Może jesteś głodny... jak ci tam na imię?

— Szymonek.

— No to weź, Szymonku, tę bułkę.

Chłopak rzucił się łapczywie.

Autor zwraca uwagę czytelnika, że to dziecię było nader źle wychowane.

— Czy dawno zmarli twoi rodzice? — ciągnął p. radca.

— Tatko w zimie, a mama jesienią.

— U kogoż mieszkasz, u krewnych?

— U nikogo nie mieszkam. Nocowałem u Janowej, alem się pobił z Anusią, odtąd nie przyjmują mnie.

— Przecie nocujesz gdzieśkolwiek.

— Wszędzie, gdzie się zdarzy...

— To znaczy, że jesteś obywatelem całego miasta.

— A tak, panie.

— Gdzież tę noc spędziłeś?

— U mamy.

— Jakto u mamy, przecie mówiłeś, że umarła.

— Na mogile u mamy.

Oblicze p. Przytulskiego znowu się rozpromieniło.

— Z czego umarł twój ojciec?

— Nie wiem, podobno z zimna.

— A matka?

— Mówią, że z głodu. Jak zbiłem u p. Zofii ładną lalkę, długo nie mieliśmy chleba, więc poszła do szpitala i umarła.

— Któż to jest Janowa, u której byłeś?

— Matka Anusi.

— Czy krewna twoja?

— Chyba nie.

— Czy masz naprzykład wuja, stryja, ciotkę?

— Nie mam...

— To dobrze, to bardzo dobrze — mruknął p. radca i dodał:

— Więc może do mnie pójdziesz... na służbę?.. Dam ci pożywienie i przytułek, a jeśli dobrze będziesz się sprawował, kupię ci buty i ze starego płaszcza każę zrobić żupanik; tylko pamiętaj, żebyś nie kradł.

— A na co bym miał kraść!..

VI. Uczucie własności i pierwsza nauka.

Stało się tedy. Pan Przytulski posiadał w domu istotę, do której krom niego nikt nie miał prawa, a więc co za tem idzie, musiał przywiązać się do niej. Juliusz Stoczek dowodzi, że słowo: *mój* zawiera w sobie pierwiastki wszystkich uczuć ziemskich. Każda matka to potwierdzi. Wszyscy odstąpią, zdradzą, osądzą, a prawdziwa matka — nigdy. Czyż się nie zdarza widzieć człowieka brzydszego od gadu, złośliwszego od szatana, a matka go kocha. Jakaż to wzniosła miłość ze stanowiska uczuć i jak znikoma ze stanowiska moralności! Owca, gdy porodzi martwe jagnię, kocha i karmi inne, skoro zręcznie uskutecznionej zamiany nie spostrzeże i mniema, że twór jest — jej. To dowodzi, iż uczucia macierzyństwa wypływają z tego źródła, co i uczucie skąpca lub despoty. Biada temu, kto się targnie w obec matki na jej dziecię, wobec skąpca — na jego skarb, wobec despoty — na jego bezprawia; dodajmy: wobec autora — na jego utwór. Sprawiedliwości i moralności w takich razach szukać nie warto, więc i pierwszeństwa oddawać żadnemu z tych uczuć nie mamy prawa: to jest lepsze, które silniejsze.

Kto się zechce gniewać na te wyniki — kończy Juliusz Stoczek — niech zapyta Pytagorasa, dla czego swój trójkąt na własnym nagrobku wyryć kazał.

Siedzi tedy Przytulski i marzy:

— Mój dom, to znaczy, że jestem obywatelem miasta. Mój chłopiec — to znaczy, że jestem jego panem: i z domem i z chłopakiem mogę postąpić, jak mi się

szkockiej należą i „Nord Coats and Other Poems.“ O ile trzeba malować prostacze dusze górali, ich silne, niezłomne przywiązania, ich zwierzęce, ryczące wściekłością gniewy, ich wierzenia i przesądy, ich radości i smutki, Buchanan bywa niezrównany. Zamiłowanie do dusz prostaczych wyraziło się w przywiązaniu do dzieci. W ich towarzystwie czuje się dobrym i niewinnym—pod ich wpływem powrócił od sceptycyzmu do wiary. „Ja, który na wzór tylu innych byłem napół wierzącym, napół sceptykiem, zacząłem powracać ku ideałom mego dzieciństwa. Gdy kładłem dłoń na głowie Willie, zdawało mi się, iż światło wytryska z jego złotych włosów i promienieje w mem sercu. Gdy pogrążałem wzrok w jego niewinnych oczach, zdawało mi się, iż moje jestestwo rozpływa się w eterze niebios; a gdy jego słaby głosik się odzywał, zdawało mi się, iż przychodzi z daleka, z bardzo daleka, jak szumy, które szczyty górskie odbijają w tych sferach przestrzeni, gdzie wielkie, czerwone słońce kładzie się samotnie z Bogiem“ *).

W „London Poems“ Buchanan porzuca krajobraz szkocki i przenosi się do stolicy Anglii, malując znowu obrazy nędzy i upadku z wielką miłością ku biednym i upośledzonym. Jeden z tych poematów, „Nell,“ przedstawia młodą dziewczynę, rodzącą dziecko, której ojca powieszono — i jest rzeczywiście wstrząsający. Nikt dotychczas nie napisał nic wymowniejszego przeciw karze śmierci. „Poematy“ wszakże nie osiągnęły takiego powodzenia, jak „Legendy i idylle.“ W Europie Buchanan jest znany ze swych „Śpiewów roku strasznego“ (1870), gdzie stanął po stronie zwyciężonej Francyi.

Pod względem literackim i artystycznym poeta jest bardzo nierówny. Nawet w „Dramatach“ obok częstego niedbalstwa formy znaleźć można ustępy wspaniałe, genialne. Toż samo powiedzieć można i o innych rzeczach. Najbardziej wykończone są „Idylle i legendy“ — posiadają język silny, obrazowy i świeży.

*) Willie Baird.

L. W.

LITERATURA NIEMIECKA.

Stan. Przybyszewski. *Zur Psychologie des Jndividuums.* 1. Chopin und Nietzsche. 2. Ola Hansson. Berlin.

Gdzie jest moje Ja? Odkiedy miękki mój mózg zaczął zwolna twardnieć i dojrzewać, rzuciłem się poszukiwać swego Ja!“ Temi słowy Przybyszewski otwiera jedną ze swoich rozprawek, poświęconych psychologii jednostki. Można je postawić jako godło wszystkich jego szkiców; wszystkie one, lubo z tytułu mają zająć się Nietzsche'm, Chopinem, Hanssonem, są tylko szukaniem klucza do zrozumienia swojego własnego „Ja,“ dopatrywaniem pokrewnych stanów u kogoś innego, spowiedzią własnych pragnień w postaci analizy pragnień cudzych. Hansson przy Nietzschem czyni wrażenie wzgórza w porównaniu ze śnieżystym wierzchołkiem Montblanca, ze stanowiska przedmiotowego, atoli oba w *Psychologii jednostki* sprowadza autor do wspólnego mianownika, bo w obu znalazł to samo, mianowicie jakąś cząstkę samego siebie. Wogóle czem był Chopin lub Hansson, nie dowiedziałem się od Przybyszewskiego, natomiast poznałem go samego, a przezeń — tamtych. Szkice, poświęcone psychologii jednostki, są nader ciekawym przyczynkiem do poznania pewnych typów teraźniejszości, rodzajem surowego materyału duchowego — właśnie gwoli tej jaźni, poszukującej odbić własnego „Ja“ i w ich analizie czerpiącej może siłę do dalszego dźwigania ciężaru bytu, w każdym zaś razie osiągającej chwilowe złagodzenie tego raka duchowego, jakim jest trwoga przed życiem, rzucona w drgania duszy chorobliwie artystycznej, w której idea nawet nie ukazuje się jako sucha, oderwana kategorya, ale dźwięczy tonem, lśni barwą i posiada postać zmysłową. W jednym ze swoich szkiców P. zbudował teoryę ćwierćmózgów, mózgów połowicznych i całkowitych. Daleki nasz przodek żył jedynie prostemi wrażeniami, z biegiem czasu powstaje pomost myśli, ale ukazuje się w łańcuchu życia ludzkiego ogniwo idejowe straciło naturę zmysłową. Człowiek zaczął żyć jakgdyby dwoma sercami, od siebie niezależnemi, zmysły czuły jedno, a myśl kreśliła inną stronę świata zewnętrznego. Stał się on jakby przyrządem fotograficznym, który w sobie uwiecznia jedynie suche martwe kontury. Atoli nastaje chwila przełomu, kiedy stara klasyczna kultura pryska, a wydobywa się z pod jej prochów całkowita istota ludzka, której umysł otrzymuje zabarwienie zmysłowe, a idea stanie się barwną i dźwięczną jak samo życie. Kiedy w starym mózgu klasycznym sprzęgał się ton jedynie z tonem, w nowym wywołuje on barwę, a nawet całokształt wrażeń w ich nieskończonym splocie, barwa staje się czarodziejską pobudką do całego koncertu tonów, wrażenia jednoczą się wzajemnie nie według swojej treści, ale na podstawie wartości uczuciowej. Będzie to mózg symbolicznie zbudowany, symbolizm bowiem jest cząstką przyrody, uwięzioną w drganiach nerwu — nie pojedynczego, ale całego systemu, a zatem występującą jako obraz i jednocześnie jako dźwięk, barwa i nieokreślone czucie mięśniowe. Taką jest teorya klasycznych ćwierćmózgów i przyszłych całkowitych, i takim właśnie urodzonym symbolistą, takim posiadaczem całkowitego mózgu jest Przybyszewski, a ogniwem zarodkowem był Chopin, w którym niejako stargane zostało prawo specyficzności nerwów, a każdy obraz, każde wrażenie dotyku i czucie zmysłowe dźwięczało wiązanką tonów. Atoli tej naturze symbolicznej zbywa na harmonii wewnętrznej i zewnętrznej, rzekłbym na takcie organicznym. Pod osłonką jaźni świadomej tkwi tam i burzy się inna, nieświadoma, objawiająca się zapomocą szczególnych, dziwacznych pragnień, niby owa płynna lawa, której nie widzimy w codziennem życiu naszej ziemskiej siedziby, a która przecież napełnia całe wnętrze ziemi, tylko niekiedy przypominając o sobie wtrząśnieniami i wylewając się przez czeluście wulkanów. Jest to jakby drugie „Ja,“ odmienne od tego łańcucha wrażeń i gotowe do wybuchu nieprzepartej mocy, jeżeli okoliczności złożą się odpowiednie, skoro zaś ono da znać o sobie, świadomość nasza spogląda z podziwem i przerażeniem na tego demona, który znalazł przytułek pod jej przykryciem. Zagadnienie to o wewnętrznym demonie żądzy nieprzepartej, a w normalnym biegu życia nie dostrzeganej, posiada

---

zamarzy. Takie wzniosłe myśli czyż nie są pociechą dla człowieka osamotnionego, wypartego z ciżby społeczeństwa?

Nie dziw tedy, że p. radca odzyskał humor, że się troszczył o swą własność: poprawił dom, odział chłopca, poczem spojrzał na swe dzieła i zatarł ręce.

Pożywienie chłopaka prawie nic go nie kosztowało, nadomiar opiekunowi jego przynosił pewną korzyść. Przedtem p. radca żywił się w garkuchni, gdzie zapłaciwszy własny grosz, starał się spożyć wszystko, co doń należało; więc choć organizm ostrzegał o szkodliwości pewnej potrawy, on nie zważał, a to mu nieraz na złe wychodziło. Teraz gdy Szymonek przynosi obiad z garkuchni do mieszkania, p. radca nie potrzebuje wysilać się i za też same pieniądze chłopiec żywi się resztkami.

Pewnego razu po obiedzie p. Przytulski usiadł na kanapce i z zadowoleniem pykając wyśmienite groszowe cygaro, wszczął z chłopakiem rozmowę.

— No cóż, czyś szczęśliwy?

— Dziękuję panu, jestem bardzo szczęśliwy.

— Spodziewam się. Masz żupanik, buty, ciepły kąt, strawę, opiekę, czegoż ci jeszcze brakować może?

Tu p. radca pyknął kilkakrotnie i dodał:

— A pamiętasz, gdym cię spotkał, jak byłeś nieszczęśliwy: zginąłbyś marnie... Powinieneś mnie kochać, gdyż jestem dla ciebie wszystkiem: opiekunem, przewodnikiem, ojcem.

— Ja też kocham pana.

— Tak, zdaje mi się, a jednak nie oszczędzasz butów, za które musiałem zapłacić całego rubla powinieneś szanować moją pracę — rozumiesz?

— Rozumiem.

— Jeżeli dobrze będziesz się sprawował, może cię nawet do szkoły poślę, choć to trochę za kosztowne dla mnie; czy chcesz uczęszczać do szkoły?

— Chciałbym, tam noszą takie ładne spencerki.

— Spencerki noszą w gimnazyum; dla ciebie za wysokie to progi, zresztą nic tam dobrego nie uczą. Ja sam nie byłem w żadnem gimnazyum, a jednak, dzięki Bogu, potrafiłem na chleb pracować.

Znowu p. radca pyknął kilka razy, poczem zapytał:

— Wszak czytać trochę umiesz; widziałem w sieni na ścianie kilka liter, czyś to ty nabazgrał?

— Tak, proszę pana.

— No, to od dzisiaj będziesz kształcił się w pisaniu, ja sam cię będę uczył.

* * *

Odtąd chłopiec siedział skulony na zydelku i pisał całemi godzinami. Dla zmniejszenia kosztu p. radca, wracając z przechadzki, nieraz przynosił z sobą znalezione na ulicy kawałki papieru, a Szymonek zaglądał nawet do śmiecisk, gdzie często mu się udawało wygrzebać wcale przydatne szpargały.

Gdy chłopak trochę się wykształcił, pan radca kazał mu dla wprawy wyskrobywać całe stronice; tym sposobem na jednym kawałku papieru Szymonek pisał dwa razy, a gdy zrobił postępy — i trzy razy. Krom tego opiekun zalecał mu zgłębiać rozmaite charaktery pisma i naśladować je. Zrazu Szymonek mniemał, że tak mądra nauka przewyższa jego słabe zdolności, lecz po niejakim czasie doszedł do zadziwiającej wprawy. Mistrz Przytulski talentem ucznia zachwycał się coraz głośniej, aż pewnego razu ogłosił mu, że skoro na papierze dobrego gatunku trzykroć napisze i trzykroć wyskrobie, a pisząc czwarty raz skopiuje pismo p. radcy ze wszystkiem, co je upiększało, natenczas ogłosi go skończonym mistrzem.

Prawdopodobnie Szymonkowi nie wiele brakowało do złożenia ostatniego egzaminu, poczem radca bezwątpienia napisałby testament, powierzając losy domu w tak zdolne ręce, gdy stał się nieprzewidziany wypadek.

(D. c. n.)

szczególny urok dla naszego poszukiwacza w cudzej duszy cząstek swojego własnego „Ja.“ Mówiąc o Nietzschem, o Hanssonie, wciąż nawiązuje tę nić, a artysta-analityk skandynawski tylko dlatego stał się dlań objawieniem nowej prawdy, ponieważ wciąż trąca o te ukryte struny naszej duszy. Te dziwaczne a nieprzeparte żądze, dobywające się z najbardziej nieświadomych pokładów naszego „Ja,“ targające logikę świadomej jaźni i jej zamiary, widocznie odgrywają olbrzymią rolę w duszy Przybyszewskiego, kiedy taką darzy ich uwagą. A wszystkie te ogniwa logiczne, chociaż obdarzone częstokroć barwą i dźwiękiem, świadomej jaźni, wszystkie te konwulsye nieświadomie drgających pokładów duszy unoszą się, plączą i biegną owiane owem uczuciem nieokreślonego pochodzenia, które dzisiaj wżera się w krew i ciało natur wrażliwych, a które słynie w psychiatryi pod nazwą trwogi przed życiem. Znamiona to, zaiste Kainowe! Świadczą one o ciągłej rozterce pomiędzy żądzą a jej zaspokojeniem, zwłaszcza kiedy cała istota łaknie artystycznej szaty, a tymczasem epoka mieszczańskiej wszechtandety i wszechblagi podsuwa wytarte łachmany i sprzedajne ciała bez spazmu miłosnego; świadczy o przyrodzie duchowej niestatecznej i niezrównoważonej, a nadto nie posiadającej mocy do wywalczenia warunków wewnętrznego szczęścia, o ciągłych grzechach nietaktu organicznego, sprowadzającego chęci na ciągłe manowce.

Dzięki temu widzimy nietylko niezadowolonego dyabła, duszącego się w powietrzu wszechfrymarczenia, ale nadto człowieka, który poszukuje właściwej sobie drogi, a nie może jej znaleźć. Natura artystyczna została przykuta przez warunki bytu do studyów nad komórkami wątroby i wydzielinami nerek i w tem jarzmie jęczy, ale bez siły zrzucenia go, zresztą sama dobrze nie wie, czem być chciałaby, a jeszcze bardziej czem zdołałaby. Nawet dotychczas nie znalazła odpowiedniej dla siebie formy, bo wydane szkice, polegające na maskowaniu własnej analizy rozbiorem kogoś innego, zgoła nie są stosowną formą; jest to klatka, w której duch się miota skrępowany, pożądający większego przestworu dla pomieszczenia swojego „Ja,“ jakiejś formy nawskroś podmiotowej, pamiętnikowej a zarazem nieosobistej... Taki człowiek będzie w szczególny sposób pojmował dzieje Jednostki *) i próby stargania przez nią więzów. Jej dzieje dla P. — to przedewszystkiem historya gnoju, z którego wyrasta tem bujniejszy plon przyszłości. Jednostka bowiem według P., jest istotą, która nietylko podtrzymuje życie swego gatunku, lecz nadto prowadzi go na dalsze tory; ona to przewodniczyła przejściu od niższych form bytu do wyższych, organizowała oporne tłumy, była fermentem dziejowym, który w obojętną tłuszczę wnosił ferment. Są to wszystko niezwykłe czynności, i nie dziw, jeżeli Jednostka, walcząca o swoją indywidualność, zdradza rysy patologiczne — z klinicznego punktu widzenia. Ażeby wykonać swoje obowiązki dziejowe, posiadać ona musi nerwowy ustrój w najwyższym stopniu niestały, i odznaczać się niezmierną wrażliwością— zarówno na ból, jako też na przyjemną rozkosz. Skutkiem tych właściwości jest ciągle skazaną na samotność; nie ona to wydziela siebie ze społeczeństwa, lecz jest już od urodzenia wyrzutkiem, czuje bowiem inaczej, aniżeli inni ludzie i nie wtedy, kiedy inni; mózg jej odbywa szalone pląsy, wówczas gdy inne nie zdradzają najmniejszego drgania. Słyszy ona jak trawa rośnie, wzrokiem ujmuje to, co jest niewidoczne, myślą przenika w najskrytsze głębie. Z tego powodu przyczynia się ona do powstania nowego ogniwa dziejowego, jest nawozem dla plonu historycznego. Jednostka jest wielkim i nieustającym męczennikiem, który z życia swego wciąż czyni całopalenie na ołtarzu dobra swego gatunku. Życie jej — to nowy wyjaw tego potężnego parcia przyrody, troszczącej się nie o zachowanie jednostki, lecz gatunku, parcia, które zniedołężniło samicę w ulu i mrowisku, i u niższych zwierząt kazało samcowi umierać natychmiast po zapłodnieniu, niejako mierzwą, na której rozkwitnie kwiecie gatunkowe.

Otóż zjawia się pytanie, jak Jednostka czuje się i działa w chwili obecnej. P. usiluje wyżłobić głęboką przepaść pomiędzy indywidualnością ze świata klasycznego i średniowieczną a tegoczesną. Tamta była niby potężną postacią, burzliwej mocy ducha, stale tonącą w obłędzie, pełną fanatycznej wiary, żądzy życia i brutalnej zmysłowości — takie to postacie rzucały naówczas słowo demoniczne do rzesz ludzkich, czarowały je i wywoływały takie ruchy masowe, jak wyprawy krzyżowe, wojny religijne, wreszcie rewolucyę francuską. Jednostka doby dzisiejszej występuje z odmiennem obliczem. Autor mniema, że w czasach, kiedy instynkty trzodowe zlewają się w potężne uczucia wzajemności, kiedy prawa każdej pojedynczej osoby zostały ściśle odgraniczone, a wszelki objaw siły uchodzi za wdarcie się w cudze prawa i z tego powodu bywa odpartym; kiedy wszystko, co wybiega nad poziom codzienności, szablonu, powszedniości, jest zwalczano jako rzecz zdrożna i zagrażająca bezpieczeństwu publicznemu, że w takich warunkach niepodobna myśleć o ujawnieniu zdolności i ich zastosowaniu. Dla osoby zbudowanej nie według codziennej skali, nie ma miejsca w dzisiejszem społeczeństwie. A ponieważ taki człowiek czuje się spętany w każdym względzie, ponieważ jego myśli i czyny nie posiadają przyzwolenia ze strony ogółu, przeto staje się on istnym wygnańcem, na czole noszącym znamię wyklęcia. Ale jednocześnie zaczyna on wierzyć w swoją indywidualność i troszczyć się o nią. Treścią tegoczesnej indywidualności jest krańcowe poczucie własnego nadczłowieczeństwa, poczucie, że się stoi po za obrębem spraw codziennego targowiska, wreszcie — poczucie nad poczuciami — że instynkty ulegają nadmiernemu ograniczeniu hamulca i okaleczeniu, że źródło sił życiowych wysięka zwolna, bezczynnie. Dzieje Jednostki, uznającej swoją indywidualność, zamieniają się na posępną monografię, opowiadającą o pogwałceniu czyjejś woli i błąkających się żądzach, a owocem takiego stanu jest owa tęsknota ku wyzwoleniu, posiadająca jednocześnie zupełną świadomość tego, że nigdy nie dopnie swojego celu. W tem przykrem uczuciu znalazł swoje jaskrawe słowo duch nowoczesny, który gryzącemi sokami swojego umysłu rozkłada wszystko, który zaprzestał wierzyć w samego siebie i patrzy z niedowierzaniem i niechęcią na własną robotę; który chociaż wciąż analizuje siebie, jednak nie może poważnie spojrzeć na cele swojego życia, a w długiej pogoni za szczęściem doszedł do przeświadczenia, że wszystko jest bezowocnem i że nigdy nie pozbędzie się swojej przeklętej skóry. Jedyną ucieczką jest — użycie. Atoli chorobliwej żądzy użycia zbywa na owej niekłamanej rozkoszy, która towarzyszy zdrowemu jej zaspokojeniu, będącemu dla siebie samego celem a wypływającemu z odczuwanego nadmiaru siły. Jednostka nie posiada dzisiaj tego rodzaju instynktów, rozkosz z ćwiczenia energii życiowej zastępuje rozkoszą upojeń, a życie całe staje się jednem pasmem dążeń do takiego stanu duszy. Wśród bolesnego napięcia nerwów, niezdolnych do wysiłku, idzie ona ku owej granicy, gdzie przyjemność jest cierpieniem — odrazą, gdzie oba te stany plączą się w jednej wszechniszczącej żądzy, w osobnej ekstazie, polegającej na tem, że chcemy uwolnić się od swego Ja, wybiedz po za szranki własnej jaźni...

Tak wygląda biografia tegoczesnej Jednostki według P. Nie trudno spostrzedz, że w tym szkicu mamy przed sobą rys wewnętrzny dziejów pewnego tylko typu, gdyż i obecnie nie zbywa na osobach, łaknących rozwoju swojej indywidualności, a znajdujących w użyciu — fizycznem lub idejowem — ową rozkosz, jaką daje zdrowemu organizmowi wszelkie ćwiczenie swych organów. Jest to raczej opowieść o Jednostce artystycznej, której charakterystyczną cechą jest beztakt organiczny, nieumiejący uchwycić tej chwili, kiedy pewna przyjemność dzięki przesytowi zaczyna przekształcać się na odrazę — beztakt, będący znowu owocem naruszonej równowagi nerwowej i zubożonego ciała. W każdym jednak razie koniec i tego i tamtego typu bywa aż nazbyt często jednaki. Tandeta zapanowała wszędzie; zamiast bohaterów Carlyle'a historyczni nadludzie w teoryi, a w praktyce blagierzy i szarlatani, szukający poklasku; zamiast kultu siły, kult powodzenia, tj. pobieranych dochodów; zamiast istotnej piersi kobiecej—tandeta posługująca się watą; zamiast starego wina — surrogat kartoflany, przyprawiony chemikaliami. W takich warunkach nawet najsilniej łaknący użycia ustrój nerwowy, z największą zdolnością uniknięcia przesytu, zaczyna uczuwać odrazę, cierpieć na wewnętrzną próżnię i marzyć o wyzbyciu się ze swojego „Ja.“ Przed wszystkimi tymi wykolejonymi, z niedosytu i przesytu, przed wszystkimi tymi okazami rodu ludzkiego, posiadającymi świadomość swojego „Ja,“ wysuwa się w całym powabie Nirwana — bezosobista, beznamiętna, bez przesytu i niedosytu, bez tandety i blagi. I przedstawiciel beztaktu organicznego, niewiedzący sam, czego pragnie, i artysta użycia, cofający się przed nieartystycznemi jego formami, i piastun uczucia społecznego, wszyscy są zrównani w obliczu tej wielbicielki. Jedni, silniejsi wolą i czynem, pójdą na spotkanie w jej postaci bezwzględnej; inni, słabsi, poprzestaną na — morfinie, absyncie. Nirwana w tej lub innej formie staje się grobem bezwarunkowo lepszych natur. Przynajmniej co do mnie, pozbyłem się przesądów i pogardy, z jakimi filister spogląda na morfinistów, samobójców, pochłaniaczów absyntu. Spotkawszy któregoś z nich, raczej czuję chęć uściśnięcia ich dłoni.

K. R. Ż.

*) Zgodnie z Przybyszewskim Jednostką, walczącą o swoją indywidualność, będziemy nazywali te okazy rodu ludzkiego, które w czemkolwiek wybijają się i wysuwają po nad swoje otoczenie.

LITERATURA POLSKA.

Zofia Kowerska, *Dzidzia*.

Powyższy zbiorek zawiera cztery obrazki: „Dzidzia,“ „Lew i mysz,“ „Bezdzietni,“ „Z poezyi szpitala.“ Wymieniona w tytule nowela posiada stosunkowo największe rozmiary i skreślona została w formie opowieści bohatera głównego, ubogiego studenta prawa, sielankowego idealisty, w sposób naiwno-sentymentalny malującego dzieje swojej miłości, tęsknot i kwileń lirycznych. Forma pamiętnika, czy też bezpośredniej spowiedzi, używana bywa często przez autorów, których właściwością jest wygórowany subjektywizm, lub też korzystających z niej jako z dogodnego narzędzia dla skupienia i zespolenia licznych przebłysków ducha w całość jednolitą. Niestety, jednak lubuje się w niej także mnogi zastęp bezlotków duchowych, talencików gadatliwych, płytkich heroldów teoryj zdawkowych i poglądów moralności pospolitej.

Bohater pani K. jest tedy studentem. Wogóle „sympatyczny mundurek studen-

cki" służy dość często za szatę dla przybrania manekinów płytkości duchowej, niemowlęctwa myślowego i uczuciowego. Postacie, wykrojone podług miary filisterskiej, bardzo wiele zyskują, skoro są przystrojone w barwną tkaninę młodości, świeżości. Zapał, krewkość i nieopatrzność życzliwie usposabiają czytelnika dla przyszłych „zjadaczów chleba," głosicieli zasad „zdrowego rozsądku." P. Kowerska wyposażyła swego bohatera wszystkiemi temi cechami, jakie znajdują wielkie uznanie u cnotliwych matron, starych panien i młodych dziewcząt rozelzawionych i podlotkowo naiwnych. Cała istota duchowa jego wtłoczona w szczupłe ramki dążeń i popędów osobistych, wszystko ogniskuje się w kole spraw uczuciowych, sercowych. Po za miłością i najbliższem kółkiem osób nie dostrzega on całego bezmiaru stosunków ogólnych, nie jest atomem czynnym i świadomym w procesie dziejowym. Marzeniami wciąż ulatał w jakieś ogrody różowe miłości. Ale położenie materyalne bardzo było przykre i zaczęło dolegać mu srodze. Autorka przedstawia tę okoliczność w osłonce humorystycznej. To tak zabawnie i miło, kiedy młodzieniec zacny i uczuciowy walczy z głodem i bezlitosnemi wymaganiami życia, jednak nie upada na duchu i nie nawiedzają go żadne buntownicze myśli. Czcigodne matrony, do których dochodzą tylko przygłuszone wieści o niedostatku, z błogiem zadowoleniem malują w swej wyobraźni naiwnych idealistów, zabezpieczonych od rozgoryczających i wyczerpujących wpływów nędzy talizmanem ujmującej, gołębiej dobroduszności. Nareszcie los wabnie uśmiechnął się naszemu bohaterowi. Za pośrednictwem ogłoszenia w *Kuryerze* otrzymał on korzystną lekcyę języka niemieckiego w arystokratycznym domu pp. Pawężów. Uczenicą jego była Dzidzia, szczupła i wątła panienka z dwoma jasnymi warkoczami. Czuły młodzieniec roztkliwił się względem swej uczenicy i niebawem namiętnie się zakochał. Dzidzię wyniósł do godności bóstwa, pisał potajemnie na jej cześć sonety, gniewał się, iż koledzy nie umieli ocenić tego skarbu. Pobudliwy i zapalny jego temperament przypadł do gustu pannie, posiadającej naturę psychicznie nadwątloną, zwyrodniałą i histeryczną. Ma ona sporo uczucia i szczerości, wpływy dziedzictwa i wychowania wykrzywiły ją tylko. Nadmiernie wyczulona posiada bardzo dużo instynktów i popędów kobiecości współczesnej, lubi się opiekować sympatycznemi osobami, wykazuje w takich razach dużo taktu uczuciowego, gorączkowo i egzaltowanie uwielbia matkę. Żyć tylko może w puchu pieszczot i troskliwości.

Rozmiłowana w studencie, postanowiła rozżarzyć uczucia jego i znaglić go do wynurzenia i ujawnienia swej namiętności. Naiwny młodzieniec wcale nie pojmował nastroju Dzidzi. Zaczęło ją to wreszcie niecierpliwić, zakradały się rozmaite przypuszczenia i domysły. Wreszcie dramat rozwiązał się pomyślnie wzajemnem wyznaniem.

W Dzidzi p. Kowerska ujawniła znajomość psychologii niewieściej, trafne podpatrzenie wielu właściwości duszy kobiecej. Proces budzenia się uczuć miłosnych w takiej istocie, do pewnego stopnia wynaturzonej, został uchwycony dokładnie i subtelnie. Sylwetka studenta rzuca ciekawy promień światła na psychologię twórczości kobiecej. Jedne autorki, jak Rodziewiczówna, lubują się w tworzeniu postaci męzkich, tętniących energią niezmożoną, siłą żywiołową, która wszystko łamie i zwalcza; inne znów chętnie darzą swych bohaterów temperamentem sielankowym, tkliwością liryczną i świeżym, nieskrępowanym, czasami nieco hulaszczym polotem młodzieńczości. W szeregach drugiej kategoryi mieści się p. Kowerska. Z zadowoleniem podkreśla ona modlitewny nastrój bohatera, błogosławiącego w głębi ducha Dzidzi za wszystkie ciche i niewyznane rozkosze, jakie mu dała, za tortury miłości. Nie rażą jej naiwne i w gruncie rzeczy naganne sposoby, używane przezeń w celu zaimponowania swej uczenicy wiedzą i pilnością, otaczanie się kodeksami i księgami prawnemi, których nie czytał.

Następny obrazek rysuje kilka sylwetek ze świata arystokratycznego. Wszystko są to osoby dotknięte zwyrodnieniem psychicznem, bez trwałych i samowiednych hamulców i regulatorów życiowych, ubezwładnionych moralnie i zrywających się do lotu tylko za pobudką kaprysu lub podrażnionej ambicyi.

Największą względnie wartość posiada szkic „Bezdzietni." Tu kwestya została oświetlona z nowej, niewyzyskanej jeszcze strony. Obywatelka wiejska, ciesząca się piętnastoletniem pożyciem małżeńskiem, nie miała dzieci. Obfity zdrój uczuć macierzyńskich nurtował i wrzał w głębi jej istoty. Przypadek zrządził, iż jedna z dziewek folwarcznych nagle zmarła, pozostawiając niemowlę, ale nieślubne. Pani była oburzona, cnotliwość jej doznała bardzo nieprzyjemnego wstrząśnienia. Nakazała jednak mieć pieczę nad „znajdą," zachodząc do kuchni zawsze zwracała uwagę na jakieś braki i polecała je usuwać. Stopniowo przyzwyczaiła się do dziecka, zaczęła troszczyć się i dbać o jego dobro. Dziecko było ładne i miłe, a bardzo wdzięcznie się uśmiechało do swej opiekunki. Stopniowo wytworzył się węzeł serdecznej łączności. Dziecko zostało przeniesione z kuchni do pokoju ochmistrzyni. Wreszcie ciężka choroba zmusiła pomieścić je w pobliżu sypialni państwa. Kiedy niebezpieczeństwo przeminęło i dziecko powróciło do zdrowia, opiekunom zdawało się, iż teraz mają oni do niego niezaprzeczalne prawo, iż właściwie wywalczyli i zdobyli je sobie. Cały ten proces powolnego i bezwiednego rozwoju uczuć macierzyńskich został odzwierciedlony trafnie i subtelnie. P. Kowerska nie odczuła etyczno-społecznej strony tego stosunku. Objaw to bardzo charakterystyczny dla współczesnej moralności klasowej. Można pani z niechęcią patrzy na dziecię nielegalne, ukrywa starannie dla niego sympatyę, poczytuje ją za słabość naganną, gorliwie wypiera się jej przed krewnymi. Udowodnia nam to, jak dzięki tej moralności klasowej najbardziej naturalne i uprawnione popędy zostają przytłumione, a nawet niweczone.

„Z poezyi szpitala" opiewa idealną siostrę miłosierdzia, z zaparciem się i oddaniem namiętnem pełniącą swe obowiązki. Ci, co bliżej zetknęli się z tą sferą, mogą zaświadczyć, iż sporo czasami tkwi tam fanatyzmu ciasnego i nietolerancyjnego.

Jak widzimy, p. Kowerska jest optymistką bez fantazyi, zapalającą na widnokręgu czytelniczym łagodne, różowe światełko, mające natchnąć nadzieją i wiarą w porządek i harmonię tego świata.

Br. Ch.

TEATR.

Stare długi, sztuka w 2-ch aktach, oryginalnie napisana przez M. Gawalewicza. — *Wet za wet*, komedya w 1-ym akcie przez Chmurkę.

Dotąd w Maryanie Gawalewiczu, jako autorze dramatycznym, znaliśmy przedewszystkiem twórcę drobniutkich pieścidełek scenicznych, zręcznych bardzo „humoresek," „ramotek," „fraszek," komedyjek, wreszcie obrazków dramatycznych, mieszczących się jaknajwygodniej w ramkach jednej odsłony, poruszających najczęściej dwie tylko, czasem trzy, rzadziej już cztery osóbki. Był to w całem tego słowa znaczeniu światek lilipuci, wyrosły w egzotycznej atmosferze salonów i buduarów, oddychający wonią róż i jaśminów a nigdy prawie nieprzekraczający granic, zakreślonych przez konwenans i formy światowe. Z cacek tych, rzeźbionych misternie wprawną ręką zręcznego sztukmistrza, dochodziły nawet czasem głębsze, liryczne tony, coś niby tęsknota nieokreślona za innem, szerszem życiem, najczęściej jednak występujący w nich „mężusiowie" i „żoneczki" zadowoleni byli z siebie nawzajem i ze swojego losu najzupełniej, kochali się, niby gołąbków pary, i szczęśliwymi czuli, jak tylko w dzisiejszych czasach filister szczęśliwym być umie. A jeśli nawet czasem dla odmiany „on" dał się „uwieść" „przyjaciołom" lub kolegom i szedł z nimi na „kolacyjkę" w towarzystwie ładnej baletnicy, „ona" zaś poflirtowała nieco z jakim niezbędnym „trzecim," naturalnie nie przekraczając niebezpiecznych Rubikonów, po za którymi ze „skandalem" spotkać się można, to drobne te zboczenia i grzeszki nie wywoływały nigdy groźniejszych chmur na niebie małżeńskiego szczęścia i kończyły się zazwyczaj majowym deszczykiem pocałunków u progu sypialnego pokoju. Słowem, dawniejsze utwory sceniczne autora „Lekcyi deklamacyi" i „Guzika" dają nam całą galeryę istot bardzo szczęśliwych i bardzo płyciuchnych zarazem, choć niekiedy twórca ich przystraja je w barwne szaty szczerej poezyi, a nawet czasem i czuć każe goręcej.

Między temi pieścidełkami zresztą, między drobniuchnemi paciorczkami, nanizanemi na nitkę dawniejszej twórczości scenicznej Gawalewicza, pilny czytelnik znaleźć może i parę prawdziwych perełek w swoim rodzaju, że wymienimy tu tylko takie utwory, jak „Preludyum Chopina" i „Barkarolę."

Na pograniczu między całym szeregiem owych filigranowych komedyek i dramacików, a świeżo wystawioną w Rozmaitości dwuaktową sztuką naszego autora, stoją dwie jego jednoaktówki, osnute na tle Odrodzenia włoskiego („Figiel Benvenuta" i „Perła"). Atmosfera panuje tu już nieco odmienna, ludzie czują i myślą inaczej. Mimo jednak tego zwrotu ku rzeczom poważniejszym, „Stare długi," w których Gawalewicz zdaje się zrywać radykalnie z całą swoją egzotyczną przeszłością, byłyby dla nas prawdziwą niespodzianką, gdyby nie ostatnie jego utwory powieściowe, „Mechesy" zwłaszcza, dzięki którym wcześniej już mieliśmy sposobność powitać w nim poważniejszego pisarza społecznego.

Jest to więc, jak widzimy, talent, który rozwijał się długo, może dłużej od innych, błądził po pięknych salonach i wonnych buduarach, dziś jednak wszedł już, jak się zdaje, na właściwą sobie drogę, zmężniał, spoważniał, wyszlachetniał, a jako taki na baczniejszą zasługuje uwagę.

W „Starych długach" porusza autor kwestyę nienową, która jednak, jak koszula Dejaniry, na chwilę nawet palącą być nie przestaje. Przedewszystkiem widzimy tu znowu jedno jeszcze, źle dobrane, a więc nieszczęśliwe małżeństwo. Zygmunt Hański (p. Ładnowski), zdolny i wzięty adwokat, ożenił się przed kilku laty z piękną i bogatą Felicyą. Było to małżeństwo, jakich wiele. Chwilowy pociąg wzajemny wzięli oboje za objaw żywszego i głębszego uczucia, jemu pochlebiała myśl, że bierze za żonę pannę, która wielu kandydatów do jej serca, posagu i ręki odrzucić już zdążyła, jej znudziły się może rozkosze panieństwa, więc zmiany jakiejś zapragnęła; zresztą on rozpoczynał zawód adwokata, a miał ojca z zadłużonym majątkiem, ona pęsag znaczny posiadała, oboje wreszcie — „kochające rodziny," które przecież nie mogą pozwolić młodości i niedoświadczeniu

na odrzucenie „dobrej partyi,“ więc... o małżeństwo w takich warunkach nie trudno.

Dziś, po latach kilku wspólnego pożycia, są to ludzie najnieszczęśliwsi pod słońcem. Spędzając razem wszystkie chwile życia, nic mają z sobą nic, nic wspólnego, są dla siebie obcymi zupełnie, nie rozumieją się nawet nawzajem. On chce pracować w ciszy swojego gabinetu, nie znosi bezmyślnego życia salonów — ona w nich jedynie szczęśliwą się czuje i zadowoloną, pragnie na swój sposób używać życia, balować, rautować, flirtować, żądając przytem koniecznie, aby mąż towarzyszył jej w tem wszystkiem. Stąd wieczne nieporozumienia i starcia.

W naturze całej, wedle słusznej uwagi przyjaciela Hańskiego, Adolfa (p. Wolski), nie spotykamy równie niedobranych związków: gęś nigdy przecież nie zostaje żoną łabędzia, a osioł mężem lwicy. Jeden tylko człowiek stanowi tutaj wyjątek i wiecznie stanowić go będzie, dokąd na dobór małżeński wpływać będą wszystkie czynniki, wyjąwszy te, które jedynie rolę odgrywać tu winny.

I dalej jednak zapewne w stadle naszem toczyłoby się życie szczęśliwie i harmonijnie przed obliczem „świata“ — w ciągłej rozterce i burzy śród czterech ścian mieszkania, gdyby nie jeden jeszcze czynnik, który zakłócił na chwilę ten jego bieg „normalny.“

Zygmunt Hański jeszcze za czasów studenckich miał związek z inną kobietą, retuszerką, czy kwiaciarką, Ireną Horlicz (p. Horwath), którą rzucił naturalnie, pozostawiając na jej barkach ciężar wspólnego ich dziecka. Chciano jej za to zapłacić, lecz niepraktyczna dziewczyna jedno tylko widziała zadosyćuczynienie w postaci małżeństwa z Zygmuntem, więc ten po pewnym przeciągu czasu... ożenił się z inną kobietą. Czyż dzisiaj można inaczej wyjść z tego rodzaju „sytuacyi,“ nie chcąc ściągnąć na swoją głowę gromów ze strony rodziny, „towarzystwa,“ „świata“?.. Zygmunt bohaterem nie jest, jest tylko zwyczajnym filistrem i zrobił tak, jak robią w jego położeniu „wszyscy.“ O związku tym i jego owocu żona naturalnie nie wiedziała. Z pannami nie mówi się przecież o tak drażliwych kwestyach, a po ślubie— za późno już było.

Przez osiem lat Irena walczyła z losem i dawała sobie radę, nie przyjmując od nikogo pomocy. Dziś po raz pierwszy zwraca się do ojca swojego dziecka z prośbą, z żądaniem niemal, aby na czas jakiś udzielił w swoim domu schronienia własnemu synowi i zaopiekował się nim, jak ojciec. Ona wyjechać musi na rok, dziecka wziąć z sobą nie może, a na łasce obcych pozostawić go nie chce. Zygmunt przedstawia całą sprawę swojej żonie, która słyszeć nie chce o niczem podobnem, bo dom jej nie jest przecież przytuliskiem dla podrzutków. Następuje świetnie podpatrzona i odmalowana przez autora scena małżeńska, kończąca się atakiem nerwowym ze strony pani Felicyi i wycieczką Zygmunta po lekarstwo na jego uśmierzenie. Irena cofa naturalnie swoje żądanie i schodzi z oczu Hańskiego na zawsze, z gorzkiem przeświadczeniem, że ubóstwiany jej kochanek, któremu do ostatniej chwili w głębi serca wierną pozostała, złamawszy jej życie, sam szczęścia nie znalazł w swojem.

Sztuka Gawalewicza nie rozwiązuje wcale pytania, co czynić należy w położeniu Zygmunta, w jaki sposób zerwać kajdany, któremi w sposób niebaczny spętaliśmy dobrowolnie swoje ręce; jak unormować stosunek do nieszczęśliwego dziecka, którego winą jedyną jest to, że przyszło na świat niezupełnie zgodnie z jego dotychczasowymi przepisami. Można się zgodzić na zdanie Adolfa, który radzi nie zawierać małżeństwa, nie uregulowawszy przedtem wszystkich „starych długów,“ co jednak czynić należy, gdy jest już zawarte? Wszystkie te kwestye w dzisiejszych warunkach muszą pozostać nierozwiązanemi: zawsze znajdzie się ktoś pokrzywdzony i oszukany, bo zło leży nie w pojedynczych nieszczęśliwych wypadkach, lecz głębiej, w samem jądrze kwestyi, które przyszłość zmienić dopiero może.

W każdym razie wdzięczność winniśmy autorowi „Starych długów,“ że dotknął raz jeszcze tej wiecznie u nas fałszywie odpowiadającej struny, zwłaszcza że uczynił to w sposób rzeczywiście artystyczny. Sztuki jego słucha się z prawdziwą przyjemnością, patrzy się na nią, jak na kawałek życia; charaktery i sytuacye przemawiają do nas siłą, życiem i prawdą. Dobra gra aktorów podnosi wrażenie i bez niej jednak „Stare długi“ mają wartość głębszą, jako utwór literacki, co nie o wszystkich współczesnych, zwłaszcza tłomaczonych „sztukach,“ da się powiedzieć.

Komedyę Gawalewicza wystawiono nader starannie, a odegrano w trzech czwartych bez zarzutu. Mamy tu na myśli role, spoczywające w „niezawodnych“ rękach p. Ludowej, oraz pp. Ładnowskiego i Wolskiego. Tylko gra p. Horwatówny nie bardzo przemawiała do naszego przekonania; wolelibyśmy na jej miejscu widzieć p. Marcellównę, lub, jeśli o poparcie młodych sił chodziło, Junoszównę, która nawet w takiej błahostce, jak „Wet za wet“ Camurki, dowieść umiała, że posiada talent prawdziwy.

O tej ostatniej sztuce rozpisywać się naturalnie nie będziemy. Jest to fraszka sceniczna, jakich wiele, płytka i pusta, jak bańka mydlana, pozbawiona jednak jej barw tęczowych. Mimo to nie bardzo rozumiemy ogólne oburzenie naszej krytyki z powodu odegrania tej jednoaktówki na scenie teatru Rozmaitości. Dla popisów tego rodzaju „poezyi“ dramatycznej daleko odpowiedniejszą jest scena Mała, przyciągająca zawsze liczne grono amatorów wszelkich „potrawek“ scenicznych, nie widzimy jednak żadnej prawie różnicy między „Wet za wet“ a masą innych robót, tolerowanych, a nawet chwalonych przez krytykę warszawską, która w większości swojej woli je nawet często od rzeczy bardziej poważnych („Manfred“ Byrona). Nie trzeba stale i systematycznie dążyć do obniżania wymagań scenicznych i artystycznych publiczności, chcąc uniknąć niekonsekwentnych alarmów z powodu zjawisk, będących tylko rezultatem tego dążenia.

Władysław Bukowiński.

ODCZYTY.

III. Józef Kotarbiński. *O sztuce aktorskiej.*

Tylor w swej *Antropologii* powiada, iż na nizkich poziomach cywilizacyi tańce i widowiska sceniczne stanowią jedność. Z tańców świętych Grecyi starożytnej historycy wywodzą sztukę dramatyczną świata cywilizowanego. P. Kotarbiński genezę widowisk i sztuki aktorskiej w Grecyi odnosi nie tyle do samego tańca, ile do całości kultu religijnego, z którego pierwotnym rozwojem wiążą się zaczątki wielu sztuk i nauk. Zaczątkami tego rozwoju było: recytowanie hymnów, śpiewanie dytyrambów bachicznych, dyalogi, potem sceny. Powoli sztuka sceniczna stała się oddzielnym odłamem, zachowała atoli pewną łączność z kultem narodowo-religijnym. U nas w wieku XVI istniały zaczątki rodzimego teatru w formie interludyi tudzież intermedyi przy kościelnych widowiskach pasyjnych. Sztuka sceniczna nie rozwinęła się atoli z tego pierwiastku (jak w Anglii przed Shakespeare'em) i dopiero w początkach zeszłego wieku przyjęliśmy gotowe formy teatru od Europy zachodniej.

„Sztuka aktorska — powiada p. K. — stanowi potężną dźwignię teatru, ale siła jej jest pochodną, bo płynie z poezyi dramatycznej.“ Należy ona do szeregu sztuk wykonawczych, które nowsza estetyka powinna wcielić do swej treści. Aktor rolę odtwarza w nowej zupełnie dziedzinie środków technicznych. Wypowiada on słowa, dodaje do nich ruchy, pozy, wreszcie cały zewnętrzny wizerunek postaci, następnie przedstawia ją, jako osobistość żyjącą, która myśli, posiada właściwe sobie uczucia, popędy i namiętności.“ Słowem — aktor nietylko odtwarza dzieło autora, ale wiele jeszcze *dotwarza.* Sztuka aktorska może wyrażać nie tylko dźwięki i kształty, ale przedstawiać widocznie ruch fizyczny i rozwój duchowy człowieka, o którym poezya daje tylko myślowe pojęcie. Procesy twórczości autora i aktora różnią się zasadniczo. Pierwszy stara się wykazać pewne rysy wybitne swego przedmiotu, drugi zaś dostaje pomysł gotowy, naszkicowaną sylwetkę swej postaci, którą następnie w grze rozwija i urozmaica. Czy aktor może być geniuszem? Według p. K. — nie.

Z powyższego charakteru twórczości aktorskiej wynika jej prawo zasadnicze: jaki jest styl i charakter jego utworu, taki powinien być styl i charakter gry scenicznej. Zdarzające się odstępstwa w tej mierze uchodzą tylko wielkim mistrzom i nie zawsze bywają szczęśliwe. P. Kotarbiński przytoczył odpowiednie przykłady gry aktorskiej, tudzież rozwinął proces pracy wykonawcy scenicznego. Wszelkie różnice szkół dadzą się sprowadzić do dwu głównych metod: idealnej i realnej. Z ewolucyjnego punktu widzenia — mówi prelegent — każdy rodzaj jest dobrym, byleby tylko był szczerym nie wytwarzał form zanadto sztywnych, nie narzucał sztuce teoryi sekciarskiej, nie robił jej służebnicą jednej doktryny. Naturalizm, przedstawiający posępną, chorobliwą stronę życia nie znalazł dotąd powodzenia na scenie; p. K. nie wierzy, aby zapanował na niej wszechwładnie pesymizm skandynawski Ibsena lub Strindberga tudzież jego naśladowców niemieckich z Hauptmanem na czele. „Scena z natury swej jest instytucyą popularną, publiczność szuka w niej zabawy, pokrzepienia ideałów dodatnich, nie zaś gorzkiej analizy, zwróconej jednostronnie ku bólom i nędzom żywota. Ponieważ jednak pesymizm i naturalizm posługują się oryginalną i w wielu razach prawdziwą charakterystyką figur, daje więc sposobność aktorom do rozwinięcia swej sztuki w bardzo żywotnym kierunku.“ Symboliści współcześni nie lubią wyrazistego charakteru gry aktorskiej, gdyż w niej znika tajemniczy i nieokreślony pierwiastek, który ich zdaniem stanowi główne znamię sztuki. W literaturze dramatycznej i grze aktorskiej, najbardziej podług prelegenta żywotnym jest i będzie kierunek najjaśniej przedstawiający naturę ludzką w kształtach artystycznych. Estetyczny realizm, to jest szkoła, która na całym świecie i u nas ma obecnie przewagę. Najwyższe zadanie współczesnej gry p. Kotarbiński widzi w naturze ewolucyjnej, polegającej na przedstawieniu uczuć i namiętności w rozwoju charakterów.

Czy aktor powinien być wykształconym, inteligentnym? Doświadczenie dowiodło, że bez tych cech wybitne talenty radziły sobie, w każdym jednak razie gdyby np. Żółkowski nie miał wstrętu do „bibuły drukowanej“, mógłby odtworzyć wiele postaci z pierwszorzędnych tworów scenicznych, które dlań były niezrozumiałemi. Prelegent przychyla się do podziału aktorów przez Lewessa na dwie grupy: 1) talenty samorodne, intuicyjne i oryginalne tudzież 2) nie tak potężne, lecz wzmocnione inteligencyą artystyczną. Do pierwszej

między innymi zalicza Żółkowskiego i Sarę Bernhardt, do drugiej Modrzejewską, Królikowskiego, Rossiego i Irvinga. P. K. gorąco przemawiał za repertuarem sztuk oryginalnych, które u nas najlepiej są grywane i całkiem słusznie zaznaczył, że wystawiane na scenach błazeństwa, bezmyślne, brudne i wogóle teatry uprawiające niższe formy sztuki działają ujemnie pod względem obyczajowym. Charakteryzując znaczenie towarzyskie i społeczne aktorów, prelegent wyznaczył pierwsze miejsce kobiecie w zawodzie artystycznym; jest ona słońcem sztuki; główną wyrazicielką poezyi, życia i miłości.

IV. Dr. Odo Bujwid. *Czy można się uchronić od cholery?*

Treścią odczytu było wyjaśnienie istoty cholery, tudzież zestawienie szeregu środków zapobiegawczych. Ten niedostrzegalny gołem okiem zarazek, który cały świat przejmuje śmiertelną trwogą, dał się ująć pod mikroskop Kocha dopiero 1883 r. w Egipcie, potem w Indyach. Odkrycie to potwierdziło badanie innych lekarzy, dokonane podczas epidemii w Hiszpanii, Francyi i północnych Włoszech, w latach 1884—1886. Zarazki wogóle są to niższe twory organizowane, zostające w blizkiem pokrewieństwie z niższymi tworami roślinnymi i zwierzęcymi, najbardziej atoli podobne do roślin, mianowicie drobnych jednokomórkowych grzybków i wodorostów. Są one widzialne przy silnych powiększeniach w postaci kuleczki, laseczki, lub ciałka nieforemnego. Nie wszystkie bakterye są dobrze już znane; wiele chorób przypisywanych jest działaniu nieodkrytych dotąd drobnoustrojów. Najdokładniej poznano zarazki ropne, powodujące ropienia, owrzodzenia i dawniej bardzo częste choroby po skaleczeniach i operacyach, dziś prawie nieznane, dzięki postępowi dezinfekcyi i antyseptyki chirurgicznej. Są nadto dokładne zarazki: karbunkułu (węglika), czyli czarnej krosty, dyfterytu (błonicy), suchot (gruźlicy) i cholery. Każdy z tych drobnoustrojów ma swoje właściwości, inaczej się zachowuje względem organizmu zarażonego i stosowne drogi zakażenia posiada. Dokładne poznanie tych mikrobów datuje się od chwili, gdy dzięki badaniom Pastoura i Kocha udało się oddzielić je od bakteryi nieszkodliwych i wyhodować. Na takich hodowlach czystych zarazków poznano ich własności. Dzięki temu przekonano się, iż karbunkuł formuje długotrwałe zarodniki, mogące przez lata całe zachowywać swą siłę żywotną. Zarazek suchot posiada podobne zarodniki, ale mniej odporne, ginące już po kilku miesiącach. Zarazek cholery takich zaroduików nie posiada wcale i dlatego łatwo ginie po upływie kilku lub kilkunastu godzin, przy nieprzyjaznych dlań warunkach. Badania dowiodły, iż zarazek karbunkułu, gruźlicy, dyfterytu może się udzielić przez powietrze, podczas gdy cholery — tylko drogą pokarmów i napojów. Prawdziwym tryumfem nowszych odkryć jest poznanie różnych sposobów, służących do wyniszczenia bakteryi chorobotwórczych. Podobizna zarazka cholerycznego już prawie każdemu z ludzi ukształconych znana: zgięta w półksiężyc laseczka. Jest atoli kilka bakteryi, mających tę samą formę; ażeby się więc przekonać, że mamy do czynienia z choleryczną, należy zbadać inne jej własności, mianowicie — sposób rośnięcia mikrobów cholerycznych na różnych glebach odżywczych (żelatyna rozgrzewana z nastojem mięsa). Obszerny i przystępny wykład o bakteryach prelegent urozmaicił demonstrowaniem obrazu mikroskopowego laseczników, ziarników i plazmodyów. W końcu wyjaśnił istotę i charakter cholery, wreszcie wskazał, znane już sposoby unikania epidemii i środki osłabiające jej siłę.

Zn. P.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

WIĄZANKA KRAKOWSKA.

Zużyty prezydent. — Sprawozdanie poselskie. — Jeszcze „numerus clausus.“ — Spichlerze gminne. — Fundusz domestykalny.

Legenda o Kronosie w życiu społecznem staje się nieraz rzeczywistością. Ojców — protektorów, duszących własne dzieci, znaleźć można we wszystkich kątach świata. Różnica pomiędzy osnową mytu a faktami polega jednak na tem, że podczas gdy starożytne bóstwo dusiło niemowlęta, bóstwa nowoczesne uśmiercają ludzi, których wynieśli swoją potęgą, oszołomili nektarem władzy po to jedynie, aby ci dobrze zapamiętali przysłowie o pstrym koniu i pańskiej łasce. Ilustracyą tego faktu jest projektowane „ustąpienie“ prezydenta Szlachtowskiego. W ostatnich czasach jedno z pism postępowych podnosiło przeciw niemu ostre i gryzące zarzuty; z uwagi na charakter organu, zarzuty te dziwić nie mogły i nie dziwiły. Spodziewano się tylko, że obóz przeciwny, stańczykowski, pomści krzywdę swego syna. Tymczasem w obronie prezydenta nie stanął zgoła nikt. Okoliczność ta, sama przez się zagadkowa, nabrała tem większego znaczenia, gdy gruchnęła wieść, że autorem owych filipik jest osobistość, przez stańczyków wysunięta. Pomni manewru, jakim skutecznie zgnębiono poprzedniego prezydenta, Weigla, postanowili oni zakosztować rozkoszy tej pańskiej taktyki po raz wtóry. Weigel był ich przeciwnikiem — walka tedy z nim nie przedstawiała trudności; co innego ze Szlachtowskim. Ten służył im wiernie, programu ich nie przekraczał, odstępstwa strzegł się uczciwie. Ale jednak przeszkadza im, jest zbyteczny, zajmuje miejsce i rangę, które obecnie dla innego przeznaczyli. Więc usunąć go trzeba za wszelką cenę. Nie mogąc wystąpić jawnie, kopią pod nim dołki na zagonie cudzym, za pośrednictwem jednego z wiernych swoich rzucają na niego pociski z obozu liberalnego, sądząc, że o tak nikczemną zasadzkę nikt „panów“ nie posądzi, że więc postępowanie ich przez nikogo wykrytem nie zostanie. Spodziewali się, że Szlachtowski, dręczony wrzekomo przez partyę wrogą, ustąpi i że bez trudów ofiarować zdołają fotel prezydenta hrabiemu Antoniemu Wodzickiemu, z którym by potem wspólnie biadać poczęli nad warcholstwem postępowców i męczeńską dolą ich ofiary — Szlachtowskiego. Zużyty prezydent usunie się też istotnie, ale jaka stąd wcale już nie wątpliwa chwała spłynie na jego dawnych protektorów, oceniać zbyteczna.

Posłowie krakowscy August Sokołowski i Ferdynand Weigel zwołali na dzień 18-ty kwietnia wyborców, dla przedstawienia im działalności swojej w Radzie państwa. Obaj ubolewali nad trudnem stanowiskiem swojem wobec niechęci i opieszałości rządu dla spraw dotyczących Galicyi, narzekali na brak solidarności między delegatami, gdy chodzi o upomnienie się o pewne prawa i przywileje, wobec czego usiłowania ich pozostają bezskuteczne. Tam, gdzie korzyści zdobywać można tylko siłą i jednością, tą bronią walczyć i zwyciężać potrzeba. Czechy i Niemcy wiedzą o tej prawdzie i według niej plan postępowania układają, to też zwartym ich szykom nikt bezkarnie się nie opiera. Starania posłów galicyjskich bywają lekceważone, ponieważ w obronie ich stają jednostki, pozorną tylko zgodą złączone. Wyborcy interpelowali posłów co do różnych kwestyj społecznych i ekonomicznych. Z odpowiedzi godnem zaznaczenia jest oświadczenie się Weigla przeciwko ustawie o „numerus clausus.“ (Patrz N. 16).

Ta projektowana ustawa niepokoi i zajmuje całe ciało adwokatów tutejszych. Roztrząsano korzyści i szkody, powstać z niej mogące, na zgromadzeniu Izby adwokackiej krakowskiej d. 22 b. m. Ostatecznie za ustawą tą padło głosów 56, przeciw niej 39; nadmienić należy, że opinia przychylna miała przedstawicieli wyłącznie wśród klerykałów i konserwatystów, którzy upatrują rozwiązanie kwestyi nędzy społecznej w przywróceniu cechów średniowiecznych i którzy radziby stworzyć, na wzór stolarskiego lub piekarskiego, cech adwokacki. Opinię przeciwną, mniej krótkowzroczną, postępową, reprezentowali 36-ciu głosami na 39 wogóle projektowi niechętnych, niestety, tylko żydzi.

Na podstawie informacyj, dostarczonych przez wydziały powiatowe, Wydział krajowy uznał, że śpichlerze gminne zadaniu swojemu nie odpowiadają, że przeto administracya krajowa inicyatywy w zakładaniu ich przyjmować nie powinna, zostawiając ją dobrej woli reprezentacyj gminnych i powiatowych. Przyczyny, dla których wydziały powiatowe uznały śpichlerze za niepotrzebne, są następujące: 1) rozwój komunikacyi w kraju, ułatwiający szybki dowóz zboża; 2) niemożliwość zakładania śpichlerzy w okolicach, gdzie jest mało pola ornego; 3) bezużyteczność ich w czasie, kiedy zadanie swoje spełnić mają; jeśli bowiem gminę nawiedzą klęski, których przewidzieć niepodobna, z wiosną, wówczas zboże albo wcale, albo w znacznej części zwróconem nie będzie, wskutek czego później śpichlerz potrzebującym nie pomoże; z drugiej strony z pożyczek takich biedny, mający mało pola, korzystać nie będzie, bo rękojmi zwrotu nie daje, a poręczycieli znaleźć mu trudno; 4) brak dobrej woli ze strony zwierzchności gminnej, brak uzdolnionych ludzi do prowadzenia rachunków magazynowych i ksiąg kasowych, czyli potrzeba *dobrze* płatnych, jeżeli administracya ma być dobrą. I w samej rzeczy zwinięto już dużo śpichlerzy, a istniejące jeszcze 679 najprawdopodobniej wkrótce znikną, przemieniwszy się na zwykłe gminne kasy pożyczkowe.

W celu podniesienia przemysłu rolnego Wydział krajowy postanowił przedstawić sejmowi wniosek co do utworzenia z istniejącego funduszu *domestykalnego* funduszu *pożyczkowego* dla przemysłu rolniczego. Fundusz domestykalny, który powstał przedewszystkiem ze sprzedaży t. z. „dolnego Zamku“ we Lwowie i wzrost swój zawdzięczał dodatkom od podatków, opłacanym przez właścicieli dóbr, wynosi obecnie 122,295 złr., a nie ma żadnego określonego przeznaczenia. Z dochodów jego udzielano od czasu do czasu zasiłków na wydawnictwa takie, jak „Gramatyka“ Małeckiego, „Akta grodzkie i ziemskie,“ „Encyklopedya krajoznawstwa Galicyi“ Schneidera itp. Korzystano z niego wreszcie jako z pożyczki na pokrycie części budowy zakładu dla obłąkanych w Kulparkowie, lecz mimo to pieniądz leży bez widocznego użytku dla kraju. Ponieważ przemysł rolniczy z funduszu przemysłowego korzystać nie może, rozwija się tylko jako gorzelnictwo a gdzieniegdzie młynarstwo, wogóle zaś znajduje się w stanie wielkiego zaniedbania, przeto ułatwienie mu rozwoju przez fundusz pożyczkowy z wielu względów bardzo jest pożądane. Sejm prawdopodobnie wniosek ten uwzględni, ponieważ to ani jednym groszem budżetu nie obciąży.

Ferropar.

LISTY PETERSBURSKIE.

24 kwietnia.

Własne mieszkania. — Terminatorzy. — Paszporty. — Towarzystwo dobroczynności. — Wystawa Antokolskiego.

Wyobraźmy sobie następujące zjawisko. Kilka lub kilkanaście osób tworzy spółkę i nabywa dom. Każde mieszkanie oceniono oddzielnie, każdy lokator płaci swoją część — i oto mamy pod jedną strzechą kilkunastu współwłaścicieli. Widoczna, że dla opłaty podatku, dla naprawy domu, dla utrzymania w porządku wodociągów, bruku, chodników itp. ogólnych potrzeb wspólnicy powinni wnosić pewne odsetki, a więc utrzymywać zbiorową kasę i wybrać syndykat. W umowie należy oznaczyć szczegółowo, jak syndykat ma radzić, gdy któryś z uczestników zaniecha opłaty podatku, albo zacznie wyprawiać w swoim zakątku hece niepokojące mieszkańców, lub niszczyć wspólne dobro. Gdyby któryś chciał przerobić swoje mieszkanie wewnątrz, wnosi prośbę do ogólnego zgromadzenia towarzystwa i wszelka przeróbka, nieszkodząca budowie, ma być niezwłocznie pozwolona. Piece w mieszkaniach powinny być pod szczególnym dozorem syndykatu, inaczej niedbały właściciel może sprawić pożar i zaszkodzić sąsiadom.

Słowem, jak w państwie dla ogólnego dobra ogranicza się wszelki samopas, tak i we wspólnym domu, nie naruszając godności jednostki, wszelkim wybrykom ma być oznaczona granica. Jeżeli z czasem okaże się, że pewien współczłonek uporczywie nie spełnia zpbowiązań, zgromadzenie ma prawo zwrócić mu jego cząstkę i wykluczyć ze swego grona; z drugiej strony współwłaściciel ma prawo ustąpić swój dział, jak wszelką własność, komuś innemu.

Tak się bezwątpienia — w ogólnych zarysach — ułożą warunki, gdy sprawa ta wejdzie w życie. Tymczasem toczą się o niej tylko teoretyczne rozprawy, należy jednak oczekiwać, że choć w szczupłych rozmiarach się urzeczywistni. Jużci każdemu współwłaścicielowi takiego domu przybędzie trochę kłopotu, za to mieszkanie będzie miał tańsze i wewnętrzne urządzenie, przy innych jednakowych warunkach, najdogodniejsze.

Jeśliby lat temu ze czterdzieści ktoś powiedział, że zdrowie i życie terminatora z czasem nie będzie zależało od woli majstra, że stosunki ich wzajemne będą poddawane pewnej kontroli, majstrowie byliby przekonani, że nastaje koniec świata; dziś jednak, chociaż końca świata trudno dostrzedz, sprawa ta jest tylko kwestyą czasu — i zdaje się niezbyt długiego.

Trudniej trochę rozwija się kwestya paszportów. Znawcy twierdzą, że paszport, obciążając obywatela, żadnej korzyści państwu ze stanowiska policyjnego nie przynosi. Opryszek, opatrzony dokumentem fałszywym, co wcale nie tak trudno zdobyć, całe lata może mieszkać tuż obok agentów poszukujących go i unikać nawet podejrzenia; człowiek zaś uczciwy, dzięki zapomnieniu lub niedostatkowi, podlega karze za nieporządek. Paszporty ustanowił, jak wiadomo, Piotr Wielki. Łamiąc stary ład i zaszczepiając nowy, aby ograniczyć liczbę zbiegów i zbiegowisk, orzekł, że każdy, kto się wynosi za obręb miasta, wsi, powinien mieć kartę od władzy miejscowej. Środek, wywołany potrzebą chwili, z czasem wszedł w użycie, w prawo i chociaż stracił racyę bytu, dotąd ma licznych zwolenników — zresztą nie tyle z zasady, ile z nawyknienia.

Katolickie Towarzystwo dobroczynności na ostatniem ogólnem zgromadzeniu 90 głosami przeciw 6 odrzuciło wniosek p. Piltza o utworzenie komisyi, któraby wskazywała zarządowi, jak sobie ma radzić na przyszłość.

W sprawozdaniu zarządu za rok ubiegły znajdujemy cały polemiczny artykuł, wykazujący niepraktyczność idei p. P. Wśród zgromadzenia słyszeliśmy mniemanie, że ze znaczną korzyścią dla godności zarządu można się było obejść bez tej polemiki. Jeżeli jednak dotrzeć do dna sprawy, znajdziemy tam objaśnienie tego czynu zupełnie zadawalające. W roku przeszłym, pisząc o tej głośnej komisyi, zauważyłem, że zarząd w zarządzie sprawi jeno zamieszanie, że panu P. nie tyle chodzi o wyszukanie źródeł dochodu— bo gdyby je wiedział, mógłby zakomunikować bez nazwy komisyonera — ile o uderzenie w podstawy zarządu. Po przeczytaniu owej niegrzecznej myśli p. P. zwrócił się do zarządu z prośbą o zakomunikowanie mu, czy podziela zdanie korespondenta *Prawdy*, czy też nie nie ma z nim wspólnego. Gdyby zarząd odpisał tak, jak się chciało p. P., *Kraj* wydrukowałby odpowiedź i zgruchotałby łeb hydrze — tj. korespondentowi. Niestety, listu nie otrzymał, jeno odpowiedź, że zarząd swoje poglądy może wyłuszczyć p. P. osobiście; a ponieważ p. Piltz na oznaczone miejsce dla wyjaśnienia sprawy nie stawił się, otrzymał odpowiedź w samem sprawozdaniu zarządu. P. Piltz zemścił się na zarządzie, bo przed wyborami napisał duży artykuł. Niepotrzebnie jednak *Kraj* tracił naboje na wystrzały huczne; senne umysły nie zbudziły się i komisyi nie wybrano. Nadto członków zarządu, którzy z kolei mieli wystąpić, obrano znowu, przyczem z liczby 96 głosów gen. Zeddeler otrzymał 94, gen. Jocher 92 i p. Knoll 86; taka większość głosów trochę więcej przekonywa, niż wszelka polemika. Z drugiej strony prezesowi zarządu, p. Zeddelerowi, członkowie w dowód wdzięczności i uznania złożyli artystycznie oprawny adres.

Na miejsce dawnych kandydatów członków zarządu obrano: pp. Paklewskiego, Kukiela i Jaszkiewicza. Zarząd tuszy sobie, że kandydaci nie zadowolą się samą nazwą, ale podzielą jego trudy. Mniemamy, że się nie omyli.

W tym roku jednocześnie mamy aż trzy wystawy sztuk pięknych. Naprzód o wystawie rzeźbiarza Antokolskiego. Jest to artysta bezwątpienia nader wybitny; niektóre z jego rzeźb, jak np. głowa Jana Chrzciciela, Mefisto, Spinoza, Jermak — zwycięzca Syberyi, Jarosław Mądry (hautrelieuf) i Nestor kronikarz tchną taką prostotą i prawdą, że innych postaci, innych rysów niepodobna sobie wyobrazić. W obliczu Jana Chrzciciela tyle widzimy siły, że nawet człowiek, nieznający historyi chrześciaństwa, odgadnie, że głowa ta spadła za przekonania. Spinoza, siedzący w krześle zadumany, znękany, chory, tak się wraża w pamięć, że kto go raz jeden ujrzał, nie zapomni; zamknij oczy, wnet ci się zarysuje przed wyobraźnią postać męczennika, oddanego na ofiarę bogom ciemni i wsteczników.

Z wybitniejszych prac artysty najmniej udatne są rzeźby, wyobrażające Chrystusa, a mamy ich cztery. Naprzód — Chrystus przed sądem ludu: jest to posąg nieduży, redukcya innego większego. Głowa ładna i rzeźbiona zgodnie z tradycyą, ale ani siły, cechującej Jana Chrzciciela, ani głębokiej zadumy oblicza Spinozy widz nie dostrzega. To samo można powiedzieć o głowie Chrystusa konającego. W każdym razie te dwie rzeźby są udatniejsze od innych tejże treści; trzecia bowiem, przedstawiająca Chrystusa z rozwartemi ramionami, ma rysy nienaturalne. Takie oblicze miewają dewotki i faryzeusze, ale nie przedstawiciele miłości i miłosierdzia.

Czwarty posąg wyobraża Chrystusa, uśmierzającego burzę — ten jest najmniej udatny. Krzyż w ręku postaci dowodzi, że jest to wizerunek symboliczny. Tutaj artysta miał prawo odrzucić wszelki realizm i przedstawić Boga w ludzkiej osobie, Chrystusa-zwycięzcę. Pole dla wyobraźni nieograniczone...

Jeżeli zapytamy siebie, dlaczego przedstawiciel ideałów i wierzeń jest mniej udatny u tego artysty, niż inne postacie, to się rodzi przypuszczenie, że tworzy go przedewszystkiem wiedzą, nie zaś uczuciem. Zauważymy, że dla Antokolskiego w dzieciństwie, gdy się tworzą zawiązki ideałów, jako dla wyznawcy Mojżesza, Chrystus był niczem. Nie marzył tedy artysta o nim, nie widział go w snach niemowlęcych, nie skierowywał ku niemu swych duchowych dążeń... Bezwątpienia postacie jego są piękne, ale do przekonań naszych, do naszego serca przemawiać nie umieją.

O innych posągach — a wszystkich 18— nie mówię; są to mniej więcej zwykłe, tylko lepszej miary.

O wystawach obrazów pomówimy następnie.

N. B.

Z POZNAŃSKIEGO.

Poznań, 19 kwietnia.

Związek agrarny.—Statuty. — Komisya kolonizacyjna w sejmie. — Praca jej w roku ubiegłym i zdobycze.— Wniosek zalesienia świąt. — Zmiana nazw.

Znalazło się wreszcie coś takiego, co i nas poruszyć zdołało i ze zwykłej wyrzuciło równowagi. Sprawił to ruch rolniczy. Traktat zawarty z Austryą tudzież rokowania ugodowe z Rosyą zaniepokoiły agrarzystów niemieckich—w pierwszym upatrują oni pogorszenie swych stosunków, w drugich — wręcz zgubę, gdyż sądzą, że cła ochronne, stworzone dla ich produkcyi, zostaną przełamane. Ruch ten miał swe źródło w dziennikach, stojących w bliższych lub dalszych stosunkach z byłym kanclerzem, i stąd z nadzwyczajną łatwością spłynął w warstwy właścicieli dóbr większych w Prusach. Wpadli oni na pomysł, podszepnięty im zresztą przez człowieka o trzech włosach na głowie — aby dla zapobieżenia wszelkim możliwym niebezpieczeństwom skupić się, zjednoczyć i uprzedzając atak, na rząd uderzyć. Wydano odezwy do wszystkich właścicieli dóbr i powołano ich na walny zjazd do Berlina. Odezwa doszła i do nas — w Poznańskie. Była to iskra, która miała przygotowany już materyał do wybuchu. Jednogłośnie orzeczono, że Poznańskie oddawna miało podobny projekt bronienia interesów rolnictwa przed zamachami rządu, że prowincya nasza, jako ściśle rolnicza, najbardziej odczuwała wszelkie niebezpieczeństwa rolnikom grożące, że tu oddawna koszta produkcyi przewyższały wartość samych płodów i właściwie posiadacze dóbr z czystego miłosierdzia nad resztą ludności pozostali przy swych majątkach. Pod pierwszem wrażeniem odezwy zgodzono się prawie na łączność z ziemianami innych prowincyj w jednem towarzystwie. Rychło jednak myśl ta upadła i postanowiono „iść osobno a bić razem", to znaczy Poznańskie ma pozostać odrębne od ogólnego związku agrarnego, atoli prowadzić wspólną akcyę w interesie spraw rolniczych. Chcąc należycie ocenić doniosłość tego zjazdu, w którym wzięło udział tylu uczestników, ilu ich nigdy w żadnem zebraniu tutaj nie było, trzeba zapoznać się z postanowieniami jego statutów, które uchwalił. Najważniejsze z nich są:

1. Związek rolników (Bund der Landwirthe) rozciąga się na całe państwo niemieckie i za siedzibę swą wybiera Berlin.

2. Celem jego jest: łączenie wszystkich rolników bez względu na polityczne ich za-

patrywania, oraz bez względu na ilość posiadanego przez nich obszaru ziemi dla wspólnej obrony, oraz dla zachowania należnego wpływu w prawodawstwie przez utworzenie odpowiedniej reprezentacyi rolniczej w ciałach parlamentarnych.

3. Cel powyższy da się osiągnąć: a) przez obrady i uchwały członków na zebraniach, b) przez wpływ na wybory, ażeby do parlamentu wybierać tylko niezależnych posłów, którzyby byli skłonni popierać rolnictwo i którzyby się zobowiązali w kwestyach rolniczych niezależnie od swej grupy łączyć się z partyą agrarną.

Nie ulega chyba wątpliwości, że związek ten, gdyby miał w łonie swem energicznych i ambitnych ludzi, a nie kierowała nim ręka już niedołężna i niemal martwa, mógłby pod względem politycznym niezwykły zrobić przewrót w Niemczech. Prawdziwie tylko szczęśliwy instynkt ochronił obywatelstwo Poznańskie od ściągnięcia na swoje plecy biczów, któreby samo dla siebie uplotło... A chociaż jest jeszcze u nas małe nieporozumienie między tymi, którzy chcą jedności z agrarzystami, a tymi, którzy byli jej przeciwni, to jednak można już być pewnym, że hasło powyżej podane „iść osobno a bić razem“ utrzyma się z tą jednak zmianą, że ani iść się nie będzie, ani bić — gdyż do pierwszego i do drugiego zabraknie ochoty.

Sejm pruski był w ostatnich czasach miejscem, na którem doniosłe dla Poznańskiego rozegrały się sprawy. Przy rozprawach nad etatem komisyi kolonizacyjnej przyszedł pod obrady wniosek Koła, żądający... zniesienia całej komisyi kolonizacyjnej. Przebieg obrad i wynik głosowania są tak charakterystyczne i ciekawe, iż parę słów tej sprawie poświęcę. Za wnioskiem Koła oświadczyło się centrum i wolnomyślni i ten wynik właśnie wskazuje najwymowniej, że komisya kolonizacyjna wkrótce istnieć przestanie, mimo że obecnie wniosek upadł. Ponowi go ono w roku przyszłym i następnych aż do skutku. Znakomitą była mowa posła Czarlińskiego, a równie wyborną wolnomyślnego posła Rickerta. Ten ostatni przez jędrne, dobitne, jasne i bez żadnych osłonek wypowiedziane zdanie o wartości komisyi kolonizacyjnej, jej znaczeniu i o stosunku do niej stronnictwa narodowo-liberalnego zasłużył sobie na prawdziwą wdzięczność naszą. Zabiegi komisyi kolonizacyjnej nie ustawały. Zakupiła ona roku ubiegłego w okręgu regencyjnym kwidzyńskim: wieś Körberhof, Bukowice, Dębową łąkę, w bydgoskim: Laskowo, Mieleszyn, Ułanowo i Gończ, w poznańskim: Nojewo-Kikowo i gospodarstwo w Pieruszycach. Memoryał kolonizacyjny zawiera skargę, że zachodnio-niemieccy robotnicy czują już wstręt nieprzezwyciężony do ziem na wschodniej stronie Wisły położonych, a nadto objawia się u nich brak zmysłu asymilacyjnego w naszych stosunkach ekonomicznych. Kosztowne budowy i praca maszynowa — to ideał kolonistów zachodnio-niemieckich.

Do najnowszych „zdobyczy“ zaliczyć należy kupiono w marcu dobra Pniewo.

Tutejsze centralne Towarzystwo rolnicze podało wniosek od władzy duchownej o przeniesienie świąt parafialnych, przypadających w dnie powszednie podczas żniw i siewu na niedzielę. Pobudką do tego wniosku była jedynie chęć uchronienia ludu od konieczności pracowania w święta parafialne, zwłaszcza u właścicieli ziemskich niekatolickich, którzy go często zmuszali do pracy, a w razie odmowy grozili odprawą ze służby. Jak łatwo można było przewidzieć, władza duchowna nie przychyliła się do tego żądania.

Nabyte przez Komisyę kolonizacyjną *Kijewo szlacheckie* (w powiecie chełmińskim) otrzymało nową nazwę *Wilhelmsau*, a to rzekomo dla tego, że niegdyś miało się nazywać *Quittau*. *Sokolniki* przechrzczono na *Falkenau*, *Popowo Podleśne* i *Popowo Ignacewo* na *Iohannisruh*.

t. z.

LIBERUM VETO.

Ograniczenie godła Ben Akiby. — Obfitość głupstwa rzuconego do literatury. — List nieuznanego. — Skromne wymagania. — Parę próbek nowoczesnej poezyi i prozy. — Czem była i czem jest maszyna drukarska. — Walka literatury z drukarnią. — Natrętny pył i jego apelacya do potomności. — Literatura wyręczająca koleje żelazne. — Rozpad mózgów. — Spór o genialność aktorów. — Źródło nieporozumienia i rozmaitość stronników.

Ben Akiba dla udowodnienia słuszności godła: „wszystko już było“— z pewnością wynalazłby nam w dziejach każdej literatury dowody, przekonywające, że do niej ludzie oddawna wrzucali swoje głupstwa. Zdaje mi się jednak, że wrzucali znacznie mniej, niż obecnie. W głowach naszych ojców i pra-pradziadów tkwił przesąd, że autorstwo jest kapłaństwem, który ich leczył ze świerzbiączki palców, powstającej na widok pióra. Wyobrażali oni sobie, iż ci tylko mogą i mają prawo pisać do druku, którzy odebrali jakieś szczególne święcenia, zostali na tę godność pomazani i bezpośrednio obcują z mocami nadprzyrodzonemi. Nie widzieli wprawdzie ani seminariów, ani kościołów, ani biskupów literatury, którzy kleryków czynili jej księżmi, ale wierzyli, że jacyś święci lepią garnki literackie, że do tego zawodu potrzebne jest jakieś posłannictwo i że nie można tak przeskoczyć odrazu z kancelaryi do piśmiennictwa, jak się przeskakuje z żydowstwa do arystokracyi rodowej. Nasze czasy w miejsce kapłaństwa postawiły talent. Była to zamiana teoretycznie rozumniejsza, ale praktycznie gorsza. Nagle bowiem tysiące ludzi, zapytawszy *siebie*, otrzymały niewątpliwe zapewnienie, że posiadają talenty. Gdyby zwierzęta jednogłowe objawiły pretensyę do wyjątkowości dwugłowych, mielibyśmy widok podobny do tego, jaki nam dziś przedstawia natłok talentów do literatury. Przedewszystkiem ustaliła się zasada, że każdy człowiek, który odebrał średnie lub wyższe ukształcenie, może być autorem, specyalnym lub ogólnym. Przeciw temu nikt nie śmie przeczyć. Dalej wychowańcy szkółek elementarnych, dobrowolni lub przymusowi emigranci niższych klas gimnazyalnych, ogromną gromadą wkraczają do piśmiennictwa, gdyż im ciągle przerywa sen jakaś muza i kładzie do rąk pochodnię lub lirę. „Wszystkie te wasze narzekania na niepowołanych — pisał do mnie niedawno jeden z najwytrwalszych uczestników szturmu nowelkowego — są tylko objawem *chęci* zamknięcia się w cechu i niedopuszczenia do niego sił młodych i świeżych. Rada pańska, ażebym nie barłorzył literatury, jest o tyle impertynęcka, o ile niedożeczne. Ja wiem dokładnie, co we mnie *jóż* nie szepcze, ale *kszyczy*: poeta! wieszcz! Wernyhora! Wobec tego głosu, co znaczy jakieś tam upominanie jakiegoś tam redaktora, którego syn może kiedyś będzie musiał wykładać o mnie uczniom i pisać *stódya*?“

Gdyby tego rodzaju zdroje natchnień tryskały tylko w głębiach naszego życia i zalewały jedynie piwnice redakcyjne, nie mielibyśmy na co publicznie się skarżyć i zapobieglibyśmy złemu zwykłym sposobem drenów koszowych. Ale niestety do literatury wsiąka coraz bardziej ta wilgoć, która w niej wywołuje zaduch i niezdrowie. Jeden podrzutek muz, objaśniony, że jego ojcem nie jest Apollo, poszukuje swego rzeczywistego rodzica i przekonawszy się, że pochodzi od boga szewców lub mularzów, bierze się do tego kunsztu. Inny wszakże nie słucha żadnych rad i wskazówek, lecz postanawia jak mucha pstrzyć papier literatury czarnemi kropkami. Świeżo właśnie wyszło z pod pras drukarskich aż kilka zbiorków takiego pstrzenia, które budzą trwogę przypuszczeniem, że my może w naszej twórczości zaczęlismy zjeżdżać na dół i to bardzo szybko. A niech czytelnik nie sądzi, ażebym względem jej niższych stopni stawiał zbyt wielkie wymagania. Tak np. wobec najnowszych przejawów „sił świeżych“ nie żądam już wcale od nich ortografii. Że pewien poeta, którego zbiorek leży przede mną, pisze: z *obóch*, *checę*, *chasać*, *chałasować* itp. tego nie poczytuję mu za grzech główny, gdyż najzupełniej wyobrażam sobie człowieka genialnego, który by pisząc *fhut* (zamiast: *wchód*), wypowiadał myśli i uczucia godne podziwu. Zresztą wieszcze najświeższej warstwy odzwyczaili nas od kaprysów ortograficznych. Ale czego chce autor, który układa taką bajkę p. t. „Profani.“

Na koncercie tłum ludzi pięknie wystrojonych.
Słuchał bacznie artystów (pono uzdolnionych)
Gdy szepnie widz do widza (a każdy z nich ziewał):
„Usyplamy śród piękna, któżby się spodziewał?
I ja co prawda dzień cały mozolnie pracuję.“
Drugi przerwie: — Mnie koncert znów hipnotyzuje
„Człowiecze! toć to koncert! tyś dzisiaj bez normy
— A koncert... i bezmyślność musi mieć swe formy.
I mruczał coś pod nosem, jak by był pijany,
I patrzył przez lornetkę, niby zasłuchany.

To ma być bajka! Zapewne, „i bezmyślność musi mieć swe formy“ — jak słusznie zauważył autor — ale nie sądzę, ażeby ta była dla niej najodpowiedniejszą. Jeżeli gdzie bowiem, to w bajce rozum jest potrzebny. Gdyby on autorowi towarzyszył, nie dopuściłby do napisania takiej oto rozkoszy poetycznej p. t. „Student prawa i dziewczyna.“

Że kochał się student w jednej z ładnych hurys,
Więc dał *onej* z miłości fragment z „*korpus juris*.“
Dziewczę zrazu z radości lekko zapłonęło,
Lecz zbadawszy on przedmiot, szmat stary skądś [wzięło
I rzecze: „Masz to panie... owiń w to swe księgi.“
Drzwi mu trzasły przed nosem—*zarżał, choć był tęgi*.

Bajka ta — o czem potomni wiedzieć powinni — powstała 26 października, a również prawie wszystkie swe utwory tejże wartości autor opatrzył datą a nieraz i miejscem ich narodzin. Przeczytawszy całe to „korpus“ może „zarżeć“ nawet „tęgi.“

Weźmy drugi zbiorek. Autor miał prawdopodobnie zamiar w synach bogacza bagdadzkiego, którzy na wzór synów Budrysa wybrali sobie rozmaite żony, upostaciować satyrę naszych stosunków życiowych. Więc opowiada, jak bagdadczycy *„chlapali* spirytus Abdel-Trajlera co niemiara“, jak również nie mogli nigdy dosyta „napić się jego *piwska*,“ jak skutkiem tego wielu było „udziudzianych,“ jak *obębniano* akcyonaryuszów“ itd. Język ten znamy, słyszymy go na ulicach, w garkuchniach, w ustach ludu miejskiego, jesteśmy więc z nim dość oswojeni, a jednakże gdy go spotykamy w literaturze, każdy jego wyraz poprostu cuchnie. Tego nie czują autorowie, którzy katar swych nosów biorą za tkwiący w nich talent. Chcą oni, ażeby czytelnik również „chlapał ich piwsko“ ze smakiem. Tymczasem, takie esencye pić może tylko kanał, nigdy zaś usta ludzkie, które dotykały i kosztowały nektarów poezyi. Piękno może nie być jedyną miarą wartości ludzi i rzeczy, ale pozostanie na zawsze jedną z najważniejszych. Podziwiać je może każdy, ale stwarzać tylko talent, którego nic zastąpi nic... nic...

Gdyby prasa drukarska umiała mówić, z pewnością poskarżyłaby się przed nami na swoją obecną dolę. Kiedyś, wytlaczając

na papierze słowa ludzkie, czuła niewątpliwie uroczysty nastrój. Były to bowiem albo głębokie myśli, albo głębokie uczucia, w każdym razie jakieś wylewy siły umysłowej człowieka. Dziś rzadko kiedy doznawałaby ona takich wzruszeń, gdyż drukować musi wszystko, co na czcionki spłynie ze śliną lub atramentem. Dawniej tłoczyła wyłącznie mądrości i natchnienia, dziś musi służyć również głupocie i pysze. Obie one przyszły do niej, odebrały jej dawny przywilej, uczyniły swoją niewolnicą, kupioną, więc bezwolną najmitką. Przedtem wszystko, co z jej pras wyszło, literatura włączała do swego spichlerza, teraz wiejc plony tej stodoły wszystkimi wiatrami i ledwie czasem zdoła dowiać się jakiegoś ziarna. Masa pośladu i plew, wyrastająca w olbrzymie góry, wytworzyła rozpaczliwą walkę między literaturą a drukarnią. Pierwsza, pragnąca gromadzić tylko wytwory cenne, zapomocą krytyki usiłuje nie dopuścić do owych zbiorów nasion chwastu; druga, powołując się na stary zwyczaj, zasypuje ją wszystkiem, co z pod jej cepów wyleci. Nie tylko przez otwarte drzwi, ale przez szpary, dziury w dachu i ścianach piśmiennictwa ciśnie się wyrzucany pył najrozmaitszego zielska, który zanieczyszcza nasiona, rozkłada się warstwami kurzu, włazi w oczy, w uszy, w nos tym, którzy go wydmuchać lub wymieść pragną. Gdzież my się podziejemy? — wołają jego drobiny—ten spichlerz również do nas należy. Co wydrukowane—to stanowi literaturę. Zresztą prawo sądu służy tylko potomnym; dopóki więc oni nas nie wygarną, będziemy tu leżeć.

Trudna rada — niech leżą. A może i lepiej pozostawić ten pył literacki potomnym, którzy nie będą mieli z nim żadnego kłopotu, bo wcale o nim wiedzieć nie będą.

My tylko zastanówmy się jeszcze chwilę nad jego stroną „bieżącą.“ Nie myślę przeczyć, ażeby na wszystkich polach pracy nie było u nas ciasno; ale przeczę, ażeby również nie było odłogów i ażeby literatura była właściwym przytułkiem dla próżniaków lub zapaśników zdystansowanych. Niegdyś, gdy szlachcic stracił majątek, gdy gimnazista nie dostał dwukrotnie promocyi, gdy rodzicom wyrósł niezdatny do niczego byczek—każdy z tych „zbytecznych“ starał się o posadę na kolei. Biura dróg żelaznych były rodzajem wątroby społecznej, w której osadzały się pewne materye niezużyte przez organizm. Dziś ta wątroba zmalała i już więcej wchłaniać nie może. Zwrócono się więc do literatury, która zaczęła gwałtownie nabrzmiewać, co wzięto za jej rozrost, a co jest właściwie wodną puchliną. Kto na nią patrzy wzrokiem bibliografa, ten cieszy się rosnącą ilością *numerów*; dla niego bowiem każda książka jest równoważną innym *sztuką*, czy to jest utwór Mickiewicza, czy Rozbickiego. Ale kto patrzy wzrokiem krytyka i artysty, ten widzi, że toniemy w masie tandety, która nastręcza się z takiem zuchwalstwem i bezmyślnością, jak gdyby miała nadzieję, że nam wyprze z pamięci wspomnienia o lepszych czasach i pojęcia o lepszych tworach. Zamiast iluś tam referatów i protokółów kancelaryjnych, których upusty zostały zwężone, otrzymujemy tyleż artykułów dziennikarskich, powieści, komedyjek, nowel i poematów. Nazywa się to rozwojem literatury, a jest rozpadem i rozkładem mózgów, niewłaściwie zużytkowywanych. Z naszego współczesnego piśmiennictwa możnaby wybrakować co najmniej 300 ludzi, którzy przeszedłszy odpowiednią naukę i praktykę, byliby zdatnymi pszczelarzami, ogrodnikami, fermerami, hodowcami drobiu itd., a są wycieraczami kątów literatury i Don Juanami, uwodzącymi muzy, które nigdy nikomu zbałamucić się nie dały i wybierają sobie kochanków tylko z miłości.

Kotarbiński poświęcił wykład publiczny sztuce aktorskiej, w teatrze odbyło się przedstawienie na dochód posągów dla Żółkowskiego i Królikowskiego, K. Zalewski wystąpił z obroną genialności i trwałości znaczenia aktorów — i oto z tych paru nici splótł się węzełek kwestyi bieżącej: czy aktor tworzy, czy tylko odtwarza, czy jest samodzielnym sprawcą, czy tylko wykonawcą. Rzecz szczególna, ku pierwszemu mniemaniu przechyla się autor — Zalewski, ku drugiemu — aktor — Kotarbiński. Przeciwne twierdzenia w tym przedmiocie trudno pogodzić dlatego, że pojęcia: geniusz, twórca itp. są nieokreślone, nieuchwytne, niepoddające się żadnym miarom i wagom. Sportsman może nazwać genialnym nawet dżokieja, który przecież ma tylko wykonać pewien bieg w oznaczonym kierunku i na oznaczonej przestrzeni. Jeżeli więc najwyższa doskonałość w jakimkolwiek rodzaju jest genialnością, to mają do tego tytułu prawo również aktorzy, ale także wirtuozowie, śpiewacy itd. Tylko wtedy geniusz musimy rozdzielić na mnóstwo stopni, któreby nam wykazywały różnicę między Mozartem a Mierzwińskim, między Shakespearem a Rossim. Taka gradacya nietylko usunęłaby spór, ale odsłoniłaby właściwe źródło nieporozumienia: mianowicie, są utwory sceniczne, w których autor jest genialnym twórcą, są inne, w których jest tylko suflerem. Inny zachodzi stosunek między aktorem a Shakespearem, inny — między aktorem a Meilhacem. Rozmaitości tych stosunków żadna ogólna reguła nie wyrazi.

Poseł Prawdy.

SPRAWY EKONOMICZNE

PRZEMYSŁ, HANDEL I FINANSE.

Skrócenie dnia roboczego. Pisaliśmy niedawno o skróceniu dnia pracy przez parę firm przemysłowych w Łodzi. Zakłady Scheiblera, wprowadzając to ustępstwo, zawiadomiły jednocześnie władze właściwe, że odtąd przyjęta niższa cyfra będzie maksymalną. Zmusiło to innych przedsiębiorców do podobnych ustępstw, a nawet do narad wspólnych w łódzkim oddziale Tow. pop. r. p. i h. Za jedną z największych trudności w skróceniu dnia interesowani uważają czynnik współzawodnictwa. „Chciałbym zrobić ulgę swym współpracownikom — mówi przemysłowiec — ale nie mogę, dopóki tego nie uczynią inni.“ Wobec tego całkiem słusznie w rezultacie tych narad oddział łódzki postanowił wystąpić do głównego zarządu Towarzystwa w Petersburgu z żądaniem, aby wyjednał ogłoszenie, jako prawa ogólnie obowiązującego, następujących zasad: 1) długość dnia roboczego w fabrykach powinna być skrócona do 12 godzin w ciągu trzech lat; 2) po upływie tego terminu następuje nowe skrócenie z 12 na 11 godzin znowu na lat trzy; 3) wreszcie po tym okresie dzień roboczy powinien wynosić 10 godzin w ciągu lat pięciu. Po upływie ogółem lat jedenastu wszystkie strony interesowane, wraz z rządem rozważyłyby, czy należy normę dziesięciogodzinną utrzymać, czy też podnieść ją lub dalej zniżyć. Przemysłowcy na obradach przyszli do wniosku, który na zachodzie dawno już wypróbowano w praktyce i za pewnik uznano, że przy skróceniu dnia robotnik będzie pracował intensywniej i tym sposobem wynagrodzi fabrykce stratę na czasie. „To natężenie ze strony robotnika będzie nieświadome, jako fizyologiczne następstwo mniejszego wyczerpania.“ Takie postawienie sprawy dowodzi, że przemysłowcy łódzcy nie chcą się ubierać w płaszcze filantropii, „dobrego serca.“ Rozumieją oni swój własny interes; szkoda tylko, że wcześniej nie zrozumieli go w ten sposób.

— Dla zapobieżenia wypadkom udanej zamiany firm, postanowiono wydać przepis, na mocy którego o sprzedaży powinny być porobione uprzednio ogłoszenia. Przejście prawa własności do nabywcy liczyć się będzie dopiero po upływie pewnego terminu, od chwili publicznych obwieszczeń.

— Zarząd kolei Południowo-Zachodnich zawiadamia, iż od 13 maja otwarta będzie agentura kolejowa tych dróg w mieście Jarmolińcach gub. podolskiej. Będzie to filia kantoru transportowego w Kamieńcu Podolskim.

— W ministeryum skarbu złożono projekt ustawy cukrowni rolniczych. Twórcy wniosku powołują się na pomyślny rozwój istniejących już tego rodzaju fabryk (np. w pow. żytomierskim) na to, że przynoszą one nierównie większy pożytek rolnictwu i ludności okolicznej, aniżeli cukrownie wielkie.

— Z Berlina telegrafują, iż z powodu powszechnego braku deszczu, ceny zboża wszędzie idą raptownie w górę.

KRONIKA.

Sprawy społeczne. *Warsz. Dniew.* pisze: „Ponieważ duchowieństwo rzymsko-katolickie w Rosyi niema bezpośredniego stosunku z papieżem lub kancelaryą papieską, przeto obecnie dla legalnego pośredniczenia w takich stosunkach, przy ministeryum spraw wewnętrznych w departamencie spraw duchownych obcych wyznań ustanowiona będzie posada „agenta duchownego“ (*agent ecclèsiastique*) w Rzymie. Pensyę oznaczono na 1500 rubli w złocie rocznie.

— Pierwszy wydział karny sądu okręgowego warszawskiego roztrząsał w tych dniach sprawę dziesięciu włościan ze wsi Jadowa, oskarżonych o zabójstwo koniokrada, Stanisława Domania, zamieszkałego w powiecie radzymińskim. Sąd skazał na dożywotnie osiedlenie w Syberyi: Adama Gąsiorka (wójta gminy), Zofię Gąsiorkowa, Jana Świszaka, Feliksa Drzewińskiego, Stanisława Gołębiowskiego, Jana Rudnika, Józefa Opara, Tomasza Przygodę, Jana Ołdaka i Józefa Barana.

— Dr. Jak Sędziak z Warszawy otrzymał medal złoty i 1000 fr. nagrody za pracę p. t. „O nowotworach krtani i ich leczeniu,“ nadesłaną na konkurs *Societé de médécine, chirurgie et pharmacie de Toulouse.*

— Dyrekcya kolejowa poznańska ogłasza, iż port hamburski nadal nie przyjmuje i nie wysyła do Ameryki wychodźców z Rosyi; pruskie zaś koleje państwowe nie wydają im biletów jazdy.

— Gubernator warszawski otrzymał następujący ukaz rządzącego senatu (zamieszczony w *Warsz. gub. wied.*). „Nieumiarkowane ze strony właściciela wyrąbywanie lasu przed wprowadzeniem gospodarstwa leśnego, może być i po zatwierdzeniu planów poręb przedmiotem procesu o ograniczenie serwitutów, lecz przysądzenie wynagrodzenia może nastąpić dopiero po ostatecznem zbadaniu tej okoliczności, że nieotrzymanie drzewa na opał wynikło z winy wyłącznie właściciela, wskutek jego nadmiernej trzebieży i po dokładnem określeniu strat przez komisye włościańskie.“

— *Warsz. gub. wied.* umieściły następujący cyrkularz gubernatora warszawskiego do wszystkich naczelników powiatu: „Szereg zuchwałych napadów przez uzbrojone bandy złoczyńców na dwory, spełnionych w różnych guberniach, a między innemi w warszawskiej, zwrócił szczególną uwagę J. E. Głównego Naczelnika kraju, który w wydanym okólniku do wszystkich gubernatorów zalecił im nietylko przedsiębranie stanowczych środków dla ukrócenia rozbojów, lecz i zapobiegania im zawczasu. Między innemi potwierdzono dawne rozporządzenie b. Namiestnika w Królestwie Polskiem z r. 1857, obowiązujące pod rygorem najsurowszej odpowiedzialności wszystkich właścicieli majątków, nieruchomości, kolonii, utrzymujących karczmy, domy zajezdne, garkuchnie itd., aby o wszelkich rabunkach, rozbojach, albo przygotowaniach do nich, natychmiast zawiadamiali wójta gminnego lub najbliższego strażnika ziemskiego, piśmiennie przez posłańców konnych. Wykraczający podlegają karom administracyjnym.“ Skutkiem powyższego polecono od osób wymienionych ściągać deklaracye, że się obowiązują ściśle spełniać rzeczone rozporządzenie.

Szkoły. W *Gaz. polic.* p. oberpolicmajster zamieścił następującą wiadomość: „Wskutek przedstawienia mego o zamknięciu zakładów froeblowskich: Lisikiewicza (Nowy-Świat 57), Słonczyńskiej (Złota 28), Mieszkowskiej (Leszno 42) i Garbowskiej (Zielna 11), JE. Główny Naczelnik kraju reskryptem za-

wiadomił mnie, że z uwagi na sprawdzone w tych zakładach systematycznie dokonywane przekroczenia przeciw zatwierdzonemu programowi JE. raczył uznać za niezbędne pozbawić wyżej wyszczególnione osoby prawa dalszego utrzymywania zakładów."

— Opracowano nowy typ szkół zawodowych dla uczniów rzemieślniczych. Będą one miały kurs trzyletni i dwa oddziały: stolarski i ślusarski. Nadto, dla otrzymania świadectwa na czeladnika obowiązywać będzie rok praktyki u majstra.

— Okrąg naukowy warszawski zawiadamia, iż kandydaci, pragnący otrzymać świadectwo z ukończenia kursu szkół realnych, którzy nie byli ich uczniami, mogą zdawać egzaminy jedynie w Łowiczu i Włocławku. Szkoła warszawska, z powodu znacznej liczby własnych uczniów tudzież ze szkół pp. Pankiewicza i Górskiego, nie będzie mogła dopuszczać do egzaminu kandydatów prywatnych.

Sprawy kolejowe. Ministeryum skarbu zajmuje się sprawą wykupienia kolei Południowo-Zachodnich. Termin wypada w czerwcu r. b.

— Z powodu nadużyć służby konduktorskiej na drodze Nadwiślańskiej, tj. przewożenia podróżnych bez biletów, zwiększono surowość kontroli i wyznaczono nagrody dla urzędników za zrewidowanie pociągów i osobno za wykrycie każdego z takich pasażerów.

— Kolej Griazie-Carycyńska tworzy nowe Towarzystwo dróg południowo-wschodnich, bierze w dzierżawę koleje Kozłowsko-Woroneżką i Orłowsko-Griazką, tudzież podejmie się budowy kolei Penzeńsko-Charkowskiej. Zarząd tejże kolei zawiera z towarzystwami żeglugi parowej umowę dla utrzymywania stałej komunikacyi pomiędzy stacyami kolejowemi Rosyi europejskiej a stacyami drogi Zakaspijskiej i wszystkimi portami na morzu Kaspijskiem.

Zdrowie publiczne. Władza lekarska ponowiła polecenie aby na wszystkich parostatkach osobowych znajdowała się do picia woda przegotowana.

— P. gubernator warszawski polecił zorganizować wszystkich stróżów szosowych w obrębie gubernii, których jest 120 na przestrzeni 500 wiorst, w charakterze służby sanitarnej do pomocy na wypadek cholery.

Zmarli. Adam Kosiński w Warszawie, literat i heraldyk, 80 lat. Przed kilkudziesięciu laty pisywał powieści historyczne.

— Karol Werder, w Berlinie. Pisarz dramatyczny i krytyk.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu Eug. Han. w Saratowie. Najobszerniejszą monografią jest *F. Chopin* M. Karasowskiego 2 tomy (Warszawa 1882, rs. 3). W czasopismach pomieszczono wiele artykułów, z których na uwagę zasługuje B. Chlebowskiego (*Ateneum*, lipiec 1891).

Z. K. Bobrzyński, Korzon, Scherr, Flammarion (*Niebo*), Witkowski, Połkotycki, Wrześniowski itd. Szczegółowego spisu zamieszczać nie możemy, gdyż dzieła tych autorów znajdzie Pan w każdej księgarni.

Redaktor i Wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 16 Апрѣля 1893 г.

Druk K. Kowalewskiego, ul. Królewska Nr. 29.